

Spektakl wokół pomnika



Pomnik Katyński w Jersey City (fot. archiwum)

Stary jak świat fortel, stosowany przez rodziców w stosunku do rozrabiającego dziecka polega na zwrócenie jego zainteresowania na jakiś przedmiot, najczęściej ulubioną zabawkę. Dziecko wówczas kieruje swoje zainteresowanie na podsunięty mu przedmiot lub czynność, a rodzice mają przynajmniej na jakiś czas spokój. Najważniejszym jest tutaj odpowiedni dobór przedmiotu, którego

należy użyć, by pociecha uznała to za swój własny sukces i z zainteresowaniem przyjęła ów wybieg.

W bardzo podobny, nieskomplikowany sposób przeprowadzono zamieszanie z groźbą usunięcia Pomnika Katyńskiego w Jersey City. W czasie, kiedy ustawa 447 była podpisywana przez Prezydenta

Dokończenie na stronie 2

W numerze m.in.:

Strony 1, 2, 3 i 11

Spektakl wokół pomnika

Strona 3

Spielberg i prawda o okupacji niemieckiej w Polsce

Strony 4, 5, 6, 8, 9, 10 i 11

Dobrana para: BLANKA KACZOROWSKA - LUDWIK KALKSTEIN

Strona 5

Rokowania wysokiego ryzyka

Strona 3

Pozostawmy panią Nurowską właściwym organom, nie róbmy jej reklamy

Strony 4, 5, 6, 8 i 9

Tajemnica „Pięknej Heleny”: HELENA MATHEA – SŁUŻEWSKA

Strony 12 i 20

Nie ta Targowica, nie ta Katarzyna

Strona 13

Księgarnia ANTYK poleca

Strony 14 i 15

Napoleon Bonaparte a sprawa polska

Strony 16, 17, 18 i 19

Gra wstępna

Strona 20

Nowośmieszność

Trumpa niespodziewanie rozpoczął się teatrzyk likwidacji Pomnika Katyńskiego w Jersey City. Burmistrz Steven Fulop otworzył ten spektakl z wielkim „przypetem”, odwołując się do rzekomego nazizmu Polaków i działań, które jakoby „zmieniały historię”. Niejako w tle (dokładnie w tym samym czasie) pojawiła się szeroko rozpowszechniona przez media skandaliczna, antypolska wypowiedź reżysera Stevena Spielberga. Czy to dzieło zwykłego przypadku? Albo—jak się wymądrzają różni „eksperci” - (sprawa komercyjna)?

Sprawa skandalicznej ustawy 447, przyjętej najpierw przez aklamację przez Senat USA, a następnie przez Izbę Reprezentantów Kongresu USA trwała od grudnia zeszłego roku. Walczyły z nią organizacje polonijne, pozostawione na placu boju same sobie przez polskie władze. Ani Prezydent ani Rząd RP czy politycy nie reagowali. Tymczasem ustawa była przepychana przysłowiowym „kolanem” albo (jak w Senacie USA) przez aklamację albo wobec braku quorum (Izba Reprezentantów). Były to działania bezsprzecznie niezgodne z prawem, ale dokonały się.

Akcja Polaków w USA trwała nadal, aż do momentu podpisania przez Prezydenta Trumpa ustawy 447. Nawet wtedy nie było żadnego współdziałania ze strony Warszawy. Środowiska żydowskie uznały, że szum Polonii wokół ustawy jest zbyt wielki. Trzeba było zwrócić uwagę „kłopotliwego dziecka” w inną stronę. Taką „zabaweczką” miał być w perfidny sposób wybrany jakiś symbol, drogi sercom Polaków. A co innego zadziałałoby lepiej niż Pomnik Katyński, w dodatku umiejscowiony w bardzo prestiżowym miejscu nad rzeką Hudson?

Wiele wskazuje na taki a nie inny scenariusz „gromu z jasnego nieba”, którym było oświadczenie burmistrza Fulopa o przeniesieniu „na czas robót” pomnika gdzieś na jakieś składowisko

„na bliżej nieokreślony czas”.

Środowiska żydowskie uderzyły Stevenem Fulopem w Polskę i Polaków w najczulsze miejsce. Wiadomo było, że tej sprawy nie można zostawić, tym bardziej że Steven Fulop od samego początku nadał jej wymiar silnie antypolski. Jak słusznie zauważa prof. Artur Wróblewski (amerykanista, Instytut Łazarskiego) w wywiadzie, udzielonym portalowi wPolityce.pl:

„Decyzja Stevena Fulopa w sprawie usunięcia pomnika nie wydaje się być przypadkowa. Została podjęta z premedytacją i złośliwie. Bardziej chodzi o usunięcie pomnika, niż o budowę parku w tym miejscu.”

Zauważa on przy tym oczywistą zbieżność z działaniami wokół ustawy 447. Same zresztą sformułowania, użyte przy rozpoczęciu tego skandalicznego spektaklu przez burmistrza Fulopa obnażają stricte polityczny wydźwięk całego przedsięwzięcia. Zauważa to Prof. Wróblewski:

„Napisał [burmistrz Fulop—przyp. red.] tweety, w których stwierdził, że nie będzie rozmawiał z marszałkiem Karczewskim, ponieważ jest to biały nacjonalista i negacjonista Holocaustu oraz stwierdził, że nie będzie w sprawie pomnika dialogował z ludźmi, którzy piszą historię holokaustu na nowo. Pisząc te słowa pokazał zaciętrzewienie, złośliwość i zaskakująco dużą orientację w sprawach polskich, jak na burmistrza małego amerykańskiego miasta.”

Ciekawą wzmiankę na ten temat znaleźć można również na anglojęzycznej Wikipedii (próżno jej szukać na jej polskim odpowiedniku, dotyczącym Pomnika Katyńskiego). Przytaczam w oryginale:

„In April of 2018, it was announced that there were plans to remove the memorial as Exchange Place was to be made into a park. Mike DeMarco, chair of the Exchange Place Special Improvement District was quoted by The Jersey Journal as being in favor of the removal calling

the statue was "politically incorrect" and "I don't think the statue's appropriate for a major metropolitan area ... [The monument is] a little gruesome ... I can't imagine how many mothers go by and have to explain it to their children.”

Nic dodać, nic ująć. Burmistrz Steven Fulop po prostu realizował zamówienie środowisk żydowskich. Ale czy można się dziwić? Sam, jako potomek rumuńskich Żydów stara się budować własną karierę. A przecież na liście donatorów kampanii wyborczej Burmistrza Dulopa wśród są m.in. Alex Soros, syn miliardera George’a Sorosa, Żyda z Węgier, czy też Donald Katz, pisarz i właściciel firmy Audible.

Po tygodniu przedstawienie przerwano aktem, który można określić tytułem: „Kochajmy się!”. Słodkie fotki obejmujących się Stevena Fulopa i Erica Lubaszewskiego, dyrektora Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowej jako przedstawiciela Polonii obiegły media. Ogłoszono publicznie wielki sukces, a



Kochajmy się! Burmistrz Steven Fulop i dyrektor wykonawczy Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowej Eric Lubaszewski po ustaleniach, dotyczących Pomnika Katyńskiego (fot. archiwum)

Ciąg dalszy na stronie 3

Spielberg i prawda o okupacji niemieckiej w Polsce

Strona 3

Spektakl wokół pomnika (ciąg dalszy ze strony 2)

Oto, co wyczytałem.

„Spielberg rozumiał, iż to co powiedział, odbije się w Polsce głośnym echem - podkreślił prezes fundacji From the Depths Jonny Daniels, komentując skandaliczne słowa reżysera. - Musimy być krytyczni wobec tej wypowiedzi - dodał.

Jesteśmy winni Spielbergowi podziękowania i uznanie za przekazanie światu wiadomości o Holocauście, którą zawarł w "Liście Schindlera". Jednak jego ostatnia wypowiedź świadczyła o absolutnym braku zrozumienia, po co i dlaczego ten film powstał, a także niezrozumienia powodów, które za nim stały - powiedział PAP prezes fundacji From the Depths Jonny Daniels.

Daniels odniósł się w ten sposób do wypowiedzi reżysera Stevena Spielberga, który podczas debaty z okazji 25. rocznicy powstania filmu "Lista Schindlera" z 1993 r. w ramach Tribeca Film Festival w Nowym Jorku, wspominał pracę nad tym obrazem w Polsce. Jak podają m.in. polskie media, reżyser przywołał sytuację w której jedna z Polek krzyknęła do ubranego w mundur SS aktora Ralpa Fiennesa, że bardzo jej się ten mundur podoba i życzyłaby sobie, żeby Niemcy "tu wrócili i znów nas chronili".

Dobry jest ten Jonny Daniels, bo musimy szanować każdego, kto na nas nie pluje. Słusznie oburza się na złośliwość Spielberga, który chyba chciał się po prostu wpisać w retorykę takich polakożerców, jak Gross, Grabowski (podobno polski historyk, jak gdzieś wyczytałem) i wielu innych rezydujących w Polsce, i za polskie pieniądze nas opluwających. Ale w sumie śmiesz to rozdzieranie szat nad rzekomym, czy może nawet prawdziwym okrzykiem kobiety w stronę Niemców. Każdy, kto ma wyobrażenie o okupacji wie, że mogła być to tylko jakaś prostytutka, dodam gorszego sortu, bo były wśród nich także patriotki, albo volksdeutschka, lub eingedeutschka – a więc należąca do tych kategorii ludzi, którzy obywatelstwo polskie sprzedawali za niemieckie Lebensmittel Marken – czyli lepsze żarcie, nie dla podludzi, i bywali niekiedy wprost w łajdacki sposób antypolscy.

Ja byłem na filmie Szoah w USA, w Rochester N.Y. i zdumiał mnie dwie

rzeczy. Najpierw rzęsiście oświecony obóz, (na Pomorzu za skrawek światła wymykający się spod Verdunklungspapier groziła surowa kara) a następnie – i tu już zupełnie się zgubiłem – wielu esesmanów mówiących po polsku. Może byłoby to jakoś zrozumiałe, gdyby film był wyświetlany w Polsce i dubbingowany, ale w USA ?

Wychodząc z kina dość głośno powiedziałem do towarzyszącego mi kolegi, co o tym myślę, a wtedy ktoś idący obok odezwał się: przecież to było w Polsce, więc jak mieli mówić.

Spielbergowi dziwię się, bo w końcu to nie jest Agnieszka Holland, która z ofiarne go lwowiaka ratującego Żydów na własny koszt zrobiła chciwego pijaka. Podobno tak tego wymagała sztuka filmowa. Ale Spielberg wiedział co robi. Większość Amerykanów zrozumiała to tak, jak on tego chciał: esesmani mówią po polsku, jakaś kobieta także w tym języku podziwia hitlerowskie mundury i zaprasza Niemców, wszystko dzieje się w Polsce, a więc polskie obozy koncentracyjne, Polacy sprawcami holokaustu. I na takiej bajce opiera się cała ta obecna heca, w której chodzi o jedno, o odbicie nowego źródła, z którego popłynie mamona do kieszeni tych, którzy dziś, tak jak wówczas czynili im podobni, orzekliby, że Zagłada, to wymysł, przesadne wyolbrzymianie i spaliby spokojnie, bo dym krematoriów by im nie przeszkadzał. Zbyt były dalekie.

Takie wydarzenia, jak to obecne ze Spielbergiem i tamto przeze mnie opisane to tylko ułamek obrzydliwej propagandy wznieconej przez cwaniaków, pichcących dla siebie jakiś ochłap. Szkoda tylko, że żerują na tamtych męczennikach. Na lepszy los zasłużyli.

A my wreszcie przestańmy przeproszać za nasz rzekomy antysemityzm. I bronić się przed nim, czyli przed czymś, czego u nas z lupą nie dostrzeżesz, a co nam chcą wpełznąć do butów, wiadomo kto. Bo zbiorowa głupota nas nie dotknęła, a tym właśnie jest antysemityzm.

Zygmunt Zieliński

Pomnik ma zostać przeniesiony o około 60 metrów.

Wielki „sukces” ogłoszono też w Warszawie, której pozwolono się włączyć do przedstawienia. Popłynęły gratulacje od Prezydenta Dudy, ministra Czaputowicza i innych polityków, których głosów zabrakło w sprawie antypolskiej ustawy 447. Po jej podpisaniu przez Prezydenta Trumpa pojawiały się za to głosy typu: „Polacy, nic się nie stało !” Burmistrza Fulopa zaproszono do Polski, by odwiedził niemiecki obóz koncentracyjny w Auschwitz. Zaproszenie—jak podkreślono—zostało przyjęte. To, że Burmistrz ni uważał za stosowne przeprosić Marszałka Senatu RP za obelżywe epitety pod jego adresem, pominięto już milczeniem. I tak dobrze, że nie wystosowano ze strony polskiej przeprosin dla Burmistrza za „narobienie kłopotów”. Ręce opadają !

Hasło w sprawie ustawy 447: „Polacy, nic się nie stało !” obowiązuje nadal w mediach. Tymczasem stało się wiele, bowiem ustawa 447 jest narzędziem do wymuszania urojonych odszkodowań przez organizacje żydowskie, niekoniecznie będące spadkobiercami ofiar niemieckiego ludobójstwa. Właśnie na jej podstawie w dorocznych raportach Departamentu Stanu USA będzie się pojawiać noty za złożenie haraczu żydowskim organizacjom i od tego uzależnione mają być rozmowy z wymienionymi tam państwami, łącznie z Polską.

Pod ustawę 447 przygotowano grunt niezwykle starannie. Przede wszystkim na polu propagandy, wskazującej Polaków jako zbrodniarzy, mordujących

Dokończenie na stronie 11

*Blanka Kaczorowska (fot. archiwum)**Ludwik Kalkstein (fot. archiwum)*

W środę, 30 czerwca 1943 roku, kilka minut przed godziną 10 rano, na ulicę Spiską w Warszawie zajęła kilkanaście samochodów niemieckiej policji. Na dachach domów ustawiono karabiny maszynowe. Mieszkańcy kamienicy numer 14 zostali zgromadzeni na podwórzu. Niebawem z budynku wyprowadzono dwóch mężczyzn, skutych kajdankami. Samochód osobowy, do którego wsiedli, oraz inne wozy ruszyły w kierunku siedziby gestapo w Alei Szucha. Tak w relacjach świadków wyglądało aresztowanie komendanta głównego Armii Krajowej, generała Stefana Roweckiego – „Grota”. Nastąpiło w wyniku działalności konfidenckiego trio, znakomicie zmontowanego, samodzielnie działającego elementu siatki wywiadowczej: Ludwik Kalkstein, Eugeniusz Świerczewski i Blanka Kaczorowska.

*

Blanka przyszła na świat 13 października 1922 r. w Brześciu nad Bugiem, mieście położonym na Polesiu, u ujścia Muchawca. Była najstarszym dzieckiem sędziego Jana Kaczorowskiego i jego małżonki Janiny, którzy obok Blanki

dochowali się jeszcze dwojga potomstwa, Ireny i Włodzimierza, urodzonych w 1930 i 1933 roku w Warszawie.

W drugiej połowie lat trzydziestych rodzina Kaczorowskich przeniosła się do Siedlec, gdzie zamieszkała przy ulicy Jagiellońskiej 25. Tam też, w Siedlcach, Blanka zdała w 1938 roku małą maturę, w tak zwanej siedleckiej „królówce”, czyli Liceum Ogólnokształcącym imienia Św. Królowej Jadwigi, mieszczącym się do dzisiaj przy ulicy Prusa.

Po wybuchu wojny zasilła szeregi Armii Krajowej, przyjmując pseudonim „Sroka”. Pracując jako sprzątaczką w niemieckim szpitalu w Siedlcach, wykonywała jednocześnie zadanie zlecone jej przez wywiad AK, sporządzając między innymi odpisy z księgi rannych na froncie wschodnim. W tego rodzaju księgach znajdowały się bardzo cenne dla wywiadu dane: daty i miejsca walk oraz numery jednostek wojskowych. Urodziwa „Sroka”, przypominająca nieco z wyglądu sławną Marlenę Dietrich, nawiązała również w tym czasie romans z zatrudnionym na siedleckim lotnisku niemieckim intendentem Johannesem Berentem, dzięki czemu udało jej się

zdobyć wiele cennych informacji, w tym plany mobilizacyjne Hamburga.

Za swą pełną poświęcenia działalność została 11 listopada 1941 roku odznaczona Krzyżem Walecznych. We wniosku o przyznanie medalu przełożeni scharakteryzowali ją krótko: „Dzielność, odwaga, opanowanie”.

Berent podobno z czasem zorientował się w kontaktach Kaczorowskiej z polską konspiracją, jednak nie potrafił zadenuncjować pięknej Polki. Przełożeni na wszelki wypadek polecieli wówczas Kaczorowskiej opuścić Siedlce i udać się do Warszawy, gdzie w początkach 1942 roku została członkinią grupy operacyjnej „Hanka”, zwanej też krótko – „H”. Dowódcą grupy był ówczesny narzeczony Blanki, Ludwik Kalkstein...

Dzielny żołnierz konspiracji, bohater wywiadu Armii Krajowej, esesman, najważniejszy agent gestapo w Polsce, potomek słynnego rycerza, uwodziciel, kapuś bezpieki, literat i mitoman. Paul Heuchel, Konrad Stark, Wojciech Świerkiewicz, Ludwik Stoliński, Edward Ciesielski... To wszystko jeden człowiek – Ludwik Kalkstein, pseudonim „Hanka”. Jego historia to opowiadanie o losie wiecznego sprzedawczyka, kolaborującego zawsze z tymi, którzy byli silniejsi. Dzieje wiecznego kłamcy i krętacza. Życie robaka ciągle tkwiącego w ukryciu i bez przerwy zmieniającego nazwiska w obawie przed tymi, których zdradził. Oficjalnie umarł w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku w Paryżu. Z tym, że jeszcze w latach dziewięćdziesiątych prowadził antykwariat w Monachium...

Ludwik Kalkstein urodził się 13 marca 1920 roku w Warszawie, w spolszczonej rodzinie pruskiej. Jego rodzice prowadzili w stolicy sklep z tekstyliami przy ulicy Kieleckiej. Imię dali mu na cześć sławnego przodka, rycerza Christiana Ludwiga von Kalksteina, który w XVII wieku został stracony w Królewcu za ucieczkę z Prus i działalność przeciwko elektorowi pruskiemu na rzecz Polski.

Ciąg dalszy na stronie 5

Ludwik miał jeszcze starszą siostrę, Ninę, która została później aktorką i żoną krytyka teatralnego Eugeniusza Świerczewskiego. Podpatrywał ukradkiem jej próby, marzył o dalekich krajach i morskich podróżach, przed wojną uczęszczał nawet kurs żeglarski. Po ukończeniu w 1939 roku gimnazjum wyjechał do Wilna, gdzie po wybuchu wojny zasilił szeregi polskiej konspiracji.

W styczniu 1940 roku powrócił do Warszawy. Tam rozpoczął działalność w wywiadzie ofensywnym ZWZ – AK. Działał w sieci wywiadowczej o kryptonimie „Stragan”, posiadającej placówki ulokowane w Berlinie, Hamburgu, Kolonii, Wiedniu, Królewcu, Wrocławiu i Szczecinie. Wywiad ofensywny „Straganu” (kryptonim „Lombard”) podejmował także akcje dywersyjne, między innymi zamachy bombowe. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej rozbudowano wywiad na wschodzie (kryptonim „Pralnia”) organizując placówki m.in. w Smoleńsku, Charkowie, Rydze i Dyneburgu.

Po roku działalności wywiadowczej Ludwik Kalkstein został awansowany na porucznika i odznaczony Krzyżem Walecznych. Wiosną 1941 roku zorganizował własną grupę „Hanka” (tzw. siatka „H”), zajmującą się wywiadem lotniczym. Ogółem grupa liczyła z własnymi sieciami wywiadowczymi dwieście – trzysta osób, obejmowała Polskę, Białoruś, Niemcy, Danię, Estonię, Czechosłowację, Łotwę, Litwę i Austrię.

Swoją pracę traktował z Kalkstein z niezwykłym zaangażowaniem. Był nie tylko urodzonym dowódcą, ale posiadał również cechy rasowego wywiadowcy: inteligencję, bystrość umysłu oraz nieprzeciętną zdolność kojarzenia faktów. Ucharakteryzowani na śmieciarzy wywiadowcy Kalksteina penetrowali na przykład wysypiska śmieci pomiędzy Okęciem a Ochotą, na które wywożono przeznaczone do zniszczenia dokumenty różnych niemieckich instytucji.

Szczególnie dużego rozgłosu nabrała sprawa zdobycia przez grupę „Hanka”

mapy, na której zaznaczone były wszystkie lotniska i lądowiska w Niemczech oraz na całym okupowanym obszarze. Mapę tę z sejfu filii Flugmotorenwerke Reichshof wyjęła Gertruda Formanowska.

Za największe osiągnięcie sam Kalkstein uważał pracę „Eriki Dwa”. Oto jego własna relacja:

„Sława M. była Rosjanką. Jako dziecko uciekła przed rewolucją, znalazła się w Polsce, gdzie potem wyszła za jednego z wyższych oficerów polskich. Na zawodach hippicznych poznała niemieckiego zawodnika, rotmistrza Fassbendera, SS-mana, znajdującego się w przededniu błyskotliwej kariery wojskowej. Porzuca męża, przeprowadza rozwód, wyjeżdża z Niemcem, wychodzi za niego za mąż. Na początku wojny Fassbender jest już wyższym oficerem. Rozkaz rzuca go do Warszawy. Sława przyjeżdża razem z nim. Spotyka jednego ze swoich dawnych wielbicieli, pana L., którego odtrąciła dla wyższego oficera, a potem dla Niemca. Godzi się na spotkania z nim, ale pod warunkiem, że kochanek znajdzie dla siebie legalny status, aby mógł bywać w domu jej męża. Poddaje myśl, że pan L. może wstąpić do organizacji białych emigrantów rosyjskich, działających pod auspicjami hitlerowskimi w Warszawie.

Uwagę grupy «H» zwraca osoba tego działacza, dotąd znanego jako uczciwy Polak. W czasie pierwszego sondażu pan L. przyznaje, że popchnęła go do tego czynu miłość do generałowej, ale że gotów jest do zadośćuczynienia, do współpracy z polskim ruchem oporu. W czasie następnych spotkań wyznaczono mu zadanie: wciągnięcie do współpracy kochanki – żony generała SS. Okazuje się, że Fassbenderowa była już przez Niemców podejrzewana o współpracę z polskim II Oddziałem i nawet więziona, ale wielkie stosunki Fassbendera, SS-mana i bogacza uratowały ją. Teraz odpowiada więc kochankowi, że zgodzi się na współpracę, ale tylko bezpośrednio z aliantami i Intelligence Service.

Wybraliśmy ze względu na warunki zewnętrzne, znajomość angielskiego i talent sceniczny aktora, Janusza D., który poprzednio został specjalnie przygotowany do odegrania roli szefa siatki I. S. na Europę. Razem z nim poszedłem na spotkanie. Grałem rolę adiutanta i tłumacza. Na scenierię spotkania wybraliśmy specjalnie umeblowane mieszkanie. Generałowa zgodziła się na współpracę. Otrzymała pseudonim «Erika Dwa». Zaczęła przekazywać wiadomości o sztabach i operacjach SS, dane personalne o wyższych oficerach SS i o Kwaterze Głównej Hitlera. Potem dostała od grupy «H» zadanie nawiązania intymnych stosunków z generałem SS Fegeleinem, ożenionym z siostrą Ewy Braun, będącym więc blisko osoby Hitlera. W ten sposób mielibyśmy dotarcie do samego Hitlera i mogliśmy myśleć o zamachu na niego”.

Kierowana przez Kalksteina grupa liczyła dziesięciu stałych pracowników i około stu pięćdziesięciu informatorów. Jego związek ze „Sroka” był miłą konspiracją w konspiracji. O tym, że mieszkali razem, wiedziała wtedy tylko najbliższa rodzina.

Działalność siatki „H” w służbie polskiego wywiadu przecięły aresztowania, które nastąpiły na wiosnę 1942 roku. Samego Kalksteina gestapo zatrzymało w połowie kwietnia. 15 maja została aresztowana jego matka, Ludwika, z domu Kucińska, w czerwcu zaś - jego siostra Nina - żona Eugeniusza Świerczewskiego.

Wielki polski patriota Ludwik Kalkstein przypomniał sobie wówczas o swoim niemieckim pochodzeniu, podejmując zobowiązanie do współpracy z gestapo. Z więzienia w Alei Szucha w Warszawie wyszedł w październiku, z ufarbowanymi na blond, czarnymi dotychczas włosami, już jako Paul Henchel, a zarazem agent Geheime Staatspolizei o kryptonimie „V - 97”.

Aby wprowadzić w błąd organizację,

Niemcy rozpuścili pogłoski o rozstrzelaniu Kalksteina, wydano nawet fałszywy akt zgonu.

Po aresztowaniu Kalksteina, Blanka wyjechała we wrześniu do Częstochowy. Tam właśnie odnalazł ją po wyjściu z więzienia, w drugiej połowie października. Kiedy stanął w drzwiach jej mieszkania, do Kaczorowskiej dopiero po długiej chwili dotarło, że to „zmarłychwstały” Ludwik. Wyznał jej, że jest Konradem Wallenrodem w gestapo: chce dostać się do kwatery Hitlera, zabić go i zmienić losy wojny. Poprosił, aby mu w tym pomogła. Tej samej nocy oszołomiona Blanka przyjęła jego oświadczenia.

Ślub wzięli w listopadzie 1942 roku Radości pod Warszawą, która była wtedy nur für Deutsche. W prezencji ślubnym otrzymali od gestapo mieszkanie w niemieckiej dzielnicy, przy ulicy Cecylii Śniegockiej. Ludwik – Paul dostawał z Tajnej Policji Państwowej regularną pensję i niemieckie karty żywnościowe. Do dyspozycji miał samochód służbowy, jeździł z osobistą eskortą, nie rozstając się z dwoma pistoletami. Dla jeszcze lepszego kamuflażu nosił teraz duże, rogowe okulary.

Do nowo utworzonej siatki wywiadowczej gestapo Kalkstein wciągnął członków dawnej grupy „H”: swojego szwagra Eugeniusza Świerczewskiego „Gensa”, przedwojennego oficera Oddziału II Sztabu Generalnego, oraz swoją żonę, Blankę Kaczorowską – „Srokę”. Świerczewski został agentem „V - 100”. Blanka – „V - 98”. Całe owe konfidenckie trio stanowiło w gruncie rzeczy znakomicie zmontowany, samodzielnie działający element siatki wywiadowczej: dwoje zainstalowanych agentów i kierujący nimi rezydent.

Na początek mąż poprosił Blankę, aby podała nazwiska ludzi z siedleckiej komórki wywiadu. - „Nic im nie grozi” – zapewnił. Podała je bez wahania. W wyniku zdrady Kaczorowskiej, zostało

aresztowanych co najmniej czternaście osób. Pięciu z nich od razu trafiło pod ścianę.

Przez pewien czas, nawet już jako żona gestapowca, nadal pracowała w organizacji, aby móc dokładniej rozpracować niektóre jej ogniwa. Wydała w ręce Niemców wszystkich znanych sobie członków AK. Nastąpiły aresztowania. Większość zatrzymanych zginęła, zakatowana lub rozstrzelana w lochach Geheime Staatspolizei, część trafiła do obozów koncentracyjnych.

15 maja 1943 roku został zdradzony kapitan Karol Trojanowski „Radwan”, kierownik referatu zachodniego wywiadu ofensywnego Oddziału II KG AK („Straganu”). Aresztowano go na rogu ulicy Rakowieckiej i alei Niepodległości. To Kaczorowska pokazała „Radwana” Kalksteinowi. Katowany regularnie Trojanowski nie wytrzymał tortur i także poszedł na współpracę z Niemcami, a konkretnie z referatem IV ES, utworzonym do zwalczania wywiadu i łączności AK. W ten sposób pociągnął za sobą do piekła kolejnych, w tym dowódcę wywiadu, Mariana Drobika ps. „Dzięcioł”, którego zakatowano na śmierć w Berlinie.

W nagrodę Niemcy zwolnili rodziców Kalksteina. Jego ojciec, który na Pawiaku ciężko się rozchorował, zmarł jednak po kilku tygodniach.

Kiedy Blanka pojęła w końcu, że jej ukochany nie jest bynajmniej Wallenrodem, zaczęły ją dręczyć nocne koszmary. Ludwik obiecywał jej, że już wkrótce zerwą współpracę z gestapo i wyjadą do Argentyny, zaczęli nawet uczyć się hiszpańskiego. Na razie tylko upijał się prawie każdego wieczoru. Gestapo wciąż miało w ręku Ninę Świerczewską...

Sam Kalkstein – Henchel nie przedstawiał już dla hitlerowców większej wartości, jego „kapitałem” natomiast była Blanka i Świerczewski. Główna nadzieja, jaką wiązał z Kalksteinem prowadzący go oficer

gestapo, SS Untersturmführer Erich Merten, wiązała się ze Świerczewskim i jego znajomością z Komendantem Głównym AK, generałem „Grottem”, wrogiem numer jeden III Rzeszy. Przedwojenny „dwójkarz” znał się ze Stefanem Roweckim od 1920 roku, to jest od czasu, gdy obaj służyli w armii generała Stanisława Szeptyckiego na wschodzie. Świerczewski był oficerem kulturalno-oświatowym, Rowecki zaś oficerem Oddziału II.

30 czerwca 1943 roku Świerczewski po wyjściu z domu spotkał Roweckiego na Solcu i zaczął go śledzić. Tramwajami dojechał za nim do placu Narutowicza, gdzie generał skręcił w ulicę Spiską i wszedł do kamienicy oznaczonej numerem 14. W tej właśnie kamienicy Komendant Główny AK miał swoją kwaterę.

Stefan Rowecki nie był niestety zwolennikiem ścisłej konspiracji. Mimo iż zgodził się na ochronę osobistą wywiadu AK, ograniczył ją do spotkań służbowych – w terenie poruszając się bez obstawy. W większym stopniu zakładał, iż przed aresztowaniem i rozpoznaniem na terenie stolicy uchroni go wtopienie się w tłum, dobra orientacja w mieście, zmiana wyglądu zewnętrznego, oraz doskonale podrobione dokumenty poświadczające, iż pracuje w instytucjach niemieckich.

Szpicel znalazł telefon na placu Narutowicza, z którego powiadomił swoich mocodawców. Kilkaście minut później gestapo obstawiło dom i rozpoczęło rewizję. Komendanta znaleziono w lokalu numer 10. Po stwierdzeniu przez Świerczewskiego, że to jest faktycznie „Grot”, Stefan Rowecki został zabrany na aleję Szucha. Po kilku dniach przewieziono go samolotem do Berlina, gdzie stanowczo odrzucił niemiecką propozycję współdziałania. W połowie lipca 1943 roku został osadzony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen.

1 sierpnia 1944 roku Heinrich Himmler, na wieść o wybuchu powstania warszawskiego, nakazał niezwłoczne zgładzenie Stefana Roweckiego. Według powojennych ustaleń historyków, generał

- Panie Stefanie, jak panu nie wstyd ? 50 lat pan z żoną przeżył i teraz pan ją zostawił i ożenił się z jakąś 20-latką ? Czy pan zwariował ?

- A czego pan się czepia ? Wie pan, jak to co wieczór z żoną było ? Validol jej podaj ! Herbatki zaparz. Przykryj, odkryj! Przełącz kanał w telewizji... I tak w kółko.

A z młodą to tak: wieczorem wyjdzie, rano wróci i człowiek całą noc spokojnie śpi

Katechетка pyta się Jasia:

- Jasiu, kiedy Adam i Ewa byli w raju ?

- Jesienią.

- A dlaczego akurat jesienią ? - pyta zdziwiona katechетка.

- Bo wtedy dojrzewają jabłka.

Mama pyta się swego synka:

- Jasiu, jak się czujesz w szkole ?

- Jak na komisariacie: ciągle mnie wypytują, a ja o niczym nie wiem.

Kolega z klasy powiedział Jasiowi, że wymyślił dobry sposób na szantażowanie dorosłych:

- Mówisz tylko "Znam całą prawdę" i każdy dorosły głupieje, bo na pewno ma jakąś tajemnicę, której nie chciałby ujawnić...

Podkscytowany Jasio postanowił wypróbować świeżo zdobytą wiedzę w domu. Podchodzi do mamy i mówi:

- Znam całą prawdę.

I... dostał 50 złotych z przykazaniem, żeby nic nie mówił ojcu. Zachwycony biegnie szybko do ojca i mówi:

- Znam całą prawdę.

I dostał 100 złotych z zastrzeżeniem, żeby nic nie mówił matce. Rozochocony Jasio postanowił więc wypróbować nową metodę również na kimś spoza rodziny. Nadarzyła się okazja, kiedy listonosz przyniósł pocztę.

- Znam całą prawdę ! - mówi z

uśmiechem Jasio.

Listonoszowi łyzy naszły do oczu, rzucił listy na ziemię, rozłożył ramiona i wyszeptał:

- W takim razie uściskaj tatusia...

W szkole na lekcji historii pani zadała dzieciom pytanie:

- Dzieci kto wie coś o Napoleonie ?

Parę dzieci zgłosiło się, a wśród nich Jasiu. Pani nie dowierzała bo Jasiu zawsze taki spokojny, nigdy nie zgłaszający się - a teraz wręcz wyrwał się do odpowiedzi. Więc pani mówi:

- No proszę Jasiu powiedz co wiesz o Napoleonie.

A Jasiu jednym tchem:

- Najtańszy napoleon jest w Czechach.

Dlaczego dzieci z Czarnobyli są mądre ? Bo co dwie głowy to nie jedna.

Ojciec poszedł na zebranie. Nauczycielka mówi do niego:

- U pana syna znaleziono marihuanę !

- Mówił skąd ją ma ?

- Powiedział, że od swojego najlepszego przyjaciela.

Ojciec powstrzymując łyzy:

- Naprawdę tak powiedział ?

Przychodzi facet do lekarza z teczką wyników badań.

Lekarz przegląda, przegląda, przegląda i w końcu mówi:

- Mam dla pana dwie wiadomości dobra i zła.

Na co pacjent:

- To ja tę zła najpierw poproszę.

- Ma pan raka prostaty...

- Ooch !... A ta dobra ?

- Rozejdzie się po kościach...

Strażak, ratując ludzi z wraku samochodu zagaduje do pasażera:

- Widzi pan ? Nie przypiął pan pasów i ma pan połamane żebra... co najmniej. A kierowca zapiął pasy i siedzi sobie spokojniutko... jak żywy.

Mały Jasio ogląda z ojcem telewizję.

Nagle pojawia się plansza "Film tylko dla dorosłych"

- Tatusiu - pyta Jasio - dlaczego tego

filmu nie mogą oglądać dzieci ?

- Siedz cicho ! Zaraz zobaczysz.

Koreę Północną można odróżnić od Południowej, obserwując mech na pniach drzew. Jeżeli ludzie go jedzą, to jest to Korea Północna.

Kłamstwa studenta:

1. Od jutra nie piję.

2. Od jutra się uczę.

3. Dziękuję, nie jestem głodny.

4. Tak, to mój projekt.

5. Zaliczyłem wszystko (do rodziców).

6. Byłem na wszystkich pańskich wykładach.

7. Idziemy tylko na jedno piwo.

Blondynka przeżywa kryzys finansowy i nie wie skąd wziąć pieniądze.

Postanowiła porwać Jasia - syna bogatej sąsiadki.

Porwała więc Jasia i napisała kartkę:

"Porwałam twój syna. Jeżeli chcesz go jeszcze kiedyś zobaczyć, to jutro pod wielkim dębem w parku masz położyć w plastikowej torbie 100 000 zł".

Blondynka przykleiła mu tą kartkę do pleców i puściła do domu.

Następnego dnia znalazła pod wielkim dębem w parku te 100 000 zł i karteczkę:

"Nie wiem jak blondynka mogła zrobić blondynce coś takiego".

Wyszedł Polak na spacer ze swoim psem - jamnikiem.

Był jak na jamnika za długi.

Spotkał Rosjanina, który miał boksera.

Oba psy rzuciły się na siebie.

Cały z walki wyszedł jamnik.

Zdziwiony Rosjanin proponuje:

- Dam ci 3000 zł za tego jamnika !

- Nie nie...

- Dam ci 5000 zł za tego jamnika !

- Nie, nie. Ja musiałem dać 10000 zł za operację plastyczną tego krokodyla !

Nauczyciel na lekcji pyta Jasia:

- Jasiu masz 10 cukierków. 3 dasz Ewie i 3 Zosi ile zostanie Tobie ?

- Za mało

został zamordowany najprawdopodobniej kilka minut po godzinie 3:00, w nocy z 1 na 2 sierpnia. (Datę tę częściowo potwierdził IPN w toku śledztwa zakończonego w roku 2007).

Bilans działalności Ludwika Kalksteina i jego dwójga pomocników w latach 1942 – 1943 zamknął się liczbą ponad pięciuset aresztowanych dowódców i współpracowników wywiadu Armii Krajowej, który na terenie Warszawy został okresowo zupełnie rozbity. W nagrodę gestapo wypuściło z Pawiaka Ninę Świerczewską. Nie nacieszyła się jednak długo wolnością, kilka tygodni później zmarła na zapalenie płuc.

Pod koniec 1943 roku kontrwywiad Armii Krajowej zdemaskował całe szpiegowskie trio „KSK” jako agentów gestapo. 25 marca 1944 roku sąd podziemny skazał ich za zdradę na karę śmierci.

W czerwcu następnego roku przekonany o tym, że o jego zdradzie dalej nic wiadomo, Świerczewski zgłosił się z powrotem do organizacji. Ustalono fikcyjne spotkanie z jednym z dygnitarzy podziemnych AK w suterenie domu przy ulicy Krochmalnej 74.

„Świerczewski zawahał się na chwilę przed zejściem do suterenu i usiłował w nieznacznym sposób włożyć ręką do kieszeni od spodni – relacjonował ten moment Bernard Zakrzewski »Oskar«, szef kontrwywiadu Armii Krajowej. – Wtedy »Porawa« [Stefan Matuszczyk – przyp. aut.] po prostu siłą wrzucił go do wnętrza, a dwaj żołnierze natychmiast obezwładnili go i związali (...) W relacji ze śledztwa interesujące jest jedno zdanie: »Ja nakłoniłem Kalksteina, aby ratować jego siostrę, a moją żonę i jego ojca«. (...) Trudno było przedłużyć denerwujące przesłuchanie w biały dzień, w lokalu położonym w sercu okupowanego miasta (...) Świerczewski zginął powieszony, zabierając ze sobą do grobu z pewnością niejedną jeszcze tajemnicę”.

Blankę Kaczorowską uratował fakt, że była w ciąży. Wykonanie wyroku na niej odroczone, a potem już nie zdołano

wykonać.

Gdy tylko oficjalnie uzyskał pierwszą grupę na niemieckiej liście narodowościowej i włożył esesmański mundur, Ludwik Kalkstein zamienił nazwisko na Konrad Stark. Żonie również wręczył nowe dokumenty: kenkartę na nazwisko Elżbieta Walter. W trakcie powstania wysłał ją z ich kilkumiesięcznym synkiem do Łowicza i umieścił w pokoju hotelowym, do którego klucze otrzymał od Ericha Mertena. (*)

Ludwik Kalkstein natomiast, schronił się do strzeżonej, zamkniętej dzielnicy niemieckiej, pod przybranym nazwiskiem Konrad Stark.

„Byłem ostatni z rodu, jeśli zginę, przypadłoby jego przeznaczenie – opowiadał już po wojnie – nienawisć. Biorąc sobie to drugie nazwisko niemieckie, wybrałem imię Konrad. To imię Wallenroda. Umyśliłem grać jego rolę. Kiedy wydawałem nazwiska, pseudonimy, adresy, punkty kontaktowe, myślałem, że są zmienione jako spalone po moim aresztowaniu. Dałem dość czasu, aby je zlikwidowano. Dlaczego nie zrobiono tego? Chciałem się wkraść w zaufanie hitlerowców, korzystając ze swojego niemieckiego arystokratycznego pochodzenia, robić karierę. Przewidywałem dwa warianty. Gdyby Niemcy przegrywały: dostać się do służby w osobistej ochronie Hitlera i zabić go, sam ginąc. W wypadku, jeśli Niemcy wojnę wygraliby: zrobić wielką karierę. Im większą karierę zrobiłbym, tym większe szkody, jak Wallenrod, mógłbym zadać Niemcom”.

Podczas powstania warszawskiego ten swoisty „Konrad Wallenrod” walczył w szeregach specjalnego oddziału SS, dowodzonego przez Ericha Mertena. Bronił między innymi przed atakami powstańców gmachu gestapo, potem wziął udział w zdobywaniu Mokotowa.

W końcu października dotarł do Łowicza. Krótko pracował jeszcze w placówkach gestapo w Grójcu i Sochaczewie. Późną jesienią przeniósł się wraz z Blanką i ich

synem do Skierniewic, gdzie wspólnie spędzili sylwestra i powitali Nowy Rok 1945. Potem się rozdzielili, Blanka wyjechała do Łodzi.

Kiedy w 1945 roku zbliżała się ofensywa radziecka, Kalkstein nie przyjął propozycji wycofania się wraz z armią niemiecką w głąb Rzeszy, planując ucieczkę do Argentyny. Wystąpił z koncepcją, aby pozostawiono go na tyłach wroga. Gestapo przystało na tę propozycję, dając mu radiostację i siedemset dolarów.

Zaraz po „wyzwoleniu” utopił radiostację w basenie przeciwpożarowym i wyjechał do Krakowa, gdzie spotkał grupę ocalałych z holokaustu Żydów. Podając jedno ze swych niemiecko brzmiących nazwisk stwierdził, że również jest przedstawicielem Narodu Wybranego, i rozpoczął starania o wyjazd do Izraela. Gdy nic z tego nie wyszło, w listopadzie 1946 roku udał się na Ziemię Odzyskane, do Szczecina, gdzie egzystował przez jakiś czas pod nazwiskiem Wojciech Świerkiewicz. Łącznie z konspiracyjnymi, było to już jego dwunaste nazwisko.

Przedstawiając się jako były oficer angielskiej marynarki, dostał pracę w „Kurierze Szczecińskim”. Była to pierwsza polska redakcja w zburzonym przez alianckie naloty dywanowe mieście. Początkowo został korektorem, ale kiedy przyniósł kilka własnych tekstów, dostał etat dziennikarza. Pisał socrealistyczne reportaże o rybakach i marynarzach, „Radio Szczecin” emitowało jego słuchowiska i opowiadania, pisał scenariusze filmowe o walce Polaków z obcymi wywiadami. W pokoju obok urzędował Bohdan Tomaszewski.

„Chodził w marynarskiej kurtce i czapce – wspominał późniejszy słynny komentator sportowy. – Miał błysk w oku, wygląd amanta i lekkie pióro. Pamiętam jego tekst o trzydziestomilionowym jajku wyeksportowanym do Anglii. Szybko stał się redakcyjną gwiazdą. Chciał być pisarzem”.

Jedną z jego książek był Kapitan Sydney, sugerujący niedwuznacznie, że to wspomnienia z życia autora, z jego bogatych przeżyć, kiedy pływał z wielkimi konwojami jako korespondent wojenny. Ocean, wielkie przestrzenie, niebezpieczeństwa, niezwykle przygody, bohaterstwo – oto jak wynikałoby z książki Świerkiewicza – jego historia wojny.

„Urodziłem się 15 maja 1916 r. w Warszawie jako syn Mieczysława Świerkiewicza i Wandy Wilczyńskiej. W sierpniu 1939 ożeniłem się z Anną Sosnowską, studentką Szkoły Sztuk Pięknych. W kampanii wrześniowej byłem ranny. W latach 1940-1945 byłem korespondentem wojennym i oficerem nawigacyjnym w marynarce alianckiej. Po powrocie do Polski dowiedziałem się, że moja matka, żona i dziecko zginęli w powstaniu. Nieszczęścia załamały mnie psychicznie. Zaczęłem pić wódkę. Przepiłem nawet swoje odznaczenia bojowe”. – Ten życiorys Kalkstein dołączył do podania o przyjęcie do Związku Literatów Polskich.

W 1951 roku wprowadził go tam Jerzy Andrzejewski. Autor Popiołu i diamentu nie zdawał sobie jednakowoż sprawy, że w życiorysie prawdziwe jest tylko jedno zdanie: „Zaczęłem pić wódkę”.

Dwa lata wcześniej został aresztowany za próbę nielegalnego przekroczenia granicy. Podczas przesłuchania na UB 9 czerwca 1949 roku tłumaczył:

„Udałem się do strażnicy WOP w Dobrej celem zrobienia reportażu. Ponieważ jestem chory i piję wódkę, więc piłem po drodze i leżałem pod krzakami celem spoczynku. Gdy szedłem przez wieś, zatrzymali mnie jacyś obywatele z karabinami”.

Śledztwo zostało umorzone, gdyż zgodził się na współpracę z bezpieką. Przyjął wtedy pseudonim – „Granica”.

Na świecie żyło jednak ciągle sporo ludzi, ciągle pamiętających jego dawne grzechy. 20 sierpnia 1953 roku został rozpoznany

jako dawny agent gestapo Ludwik Kalkstein. Sądzony z tego samego artykułu co generał August Emil Fieldorf „Nil” – szef „Kedywu”, mógł spodziewać się tylko kary śmierci. Tymczasem wyrok brzmiał: dożywocie. Wkrótce zamieniono go na dwanaście lat pozbawienia wolności.

W czasie odbywania kary kilkakrotnie uczestniczył jako świadek oskarżenia w procesach przeciwko żołnierzom AK, między innymi w procesie Haliny Zakrzewskiej – „Bedy”, żony „Oskara”.

„Wyróżniał się sumienną i wydajną pracą” – Taką opinię wystawiły mu więzienne władze, kiedy 12 lipca 1965 roku wychodził na wolność na mocy amnestii dotyczącej przestępstw wojennych. W tym samym roku złożył MSW propozycję: przypominając fakt współpracy z organami śledczymi, zaferował chęć dalszej współpracy z MSW na „dowolnie wybranym przez was odcinku”. Sugerował przy tym, jako jedną z możliwości, wykorzystanie go „w zakresie zwalczania wrogiej propagandy nadawanej przez rozgłośnie zachodnie”. Jednocześnie zwrócił się o wydanie mu dowodu osobistego na inne nazwisko.

3 sierpnia 1966 roku wyrobił sobie dowód osobisty na nazwisko Ludwik Stoliński. Jego przodek, Christian Ludwig von Kalckstein należał do rodu od niepamiętnych czasów osiadłego w Prusach, który od nabytej włości Stolna, dodał sobie polski przydomek Stoliński. W rubryce „zawód” wpisał: literat.

W roku 1973 na ekrany telewizorów weszły Czarne chmury, pierwszy polski serial płaszcza i szpady. Fabuła do złudzenia przypominała życiorys Christiana Ludwiga von Kalcksteina. Filmowy Krzysztof Dowgird, jak historyczny Christian, występuje przeciwko elektorowi. Wierny sługa Pilz w filmie nazywa się Pilch. Dowgird, jak Kalckstein, zostaje podstępnie zwabiony do rezydencji ambasadora, zwinęty w dywan i porwany. Tyle że film kończy się happy endem...

Tajemnicą poliszynela było, że pomysłodawcą serialu jest Ludwik Kalkstein. Podobno Ryszard Pietruski oraz Antoni Guziński figurują jako twórcy scenariusza dlatego, że w przeciwnym razie nikt nie zgodziłby się na produkcję filmu, którego scenarzystą jest były agent gestapo.

Ciągle szukał dla siebie bezpiecznej przystani, w czym pomagało mu wyjątkowe powodzenie u kobiet. Przez jakiś czas mieszkał na Wybrzeżu u właścicielki prywatnego sklepu. Woził do Warszawy właścicielom knajp z danciem wędzone węgorze. Jego kolejną towarzyszką życia była dentystka z Zielonej Góry. W tym czasie na jego dawny, szczeciński adres wciąż przychodziły rachunki z izb wytrzeźwień w całej Polsce.

Kiedy na ekranach telewizorów po raz pierwszy pokazał się Krzysztof Dowgird, Kalkstein – Stoliński mieszkał już od kilku miesięcy z zamożną córką budylnarza Teresą Ciesielską we wsi Mysiadło, gdzie prowadził kurzą fermę. Tam odnalazł go dziennikarz „Kulis”, dawny żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych Andrzej Gass. Po tym wydarzeniu Kalkstein zniknął, przenosząc się wraz z kochanką i jej ojcem do wsi Utrata pod Jarocinem, gdzie założyli wielką fermę świń. Powodziło im się znakomicie, mieszkali w domu z czerwonej cegły otoczonym wysokim murem. W środku socjalistyczny high life: skórzane fotele i kolorowy telewizor. Nikt z jego sąsiadów nie podejrzewał, kim naprawdę jest bogacz Stoliński.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, znów zdemaskowany przez dawnego żołnierza AK z grupy „H”, Mariana Karczewskiego, autora książki Czy można zapomnieć, postanowił kolejny raz zniknąć. Ożeniwszy się w 1979 roku z Ciesielską, przybrał jej nazwisko i na miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego wyjechał samotnie do Francji. Żył samotnie w wynajętym mieszkaniu w Paryżu, chorował na serce i... wciąż pił.

Sąsiedzi uważali go za dziwaka. Całymi dniami zza firanki obserwował ulicę, rzadko wychodził z domu...

Blanka wróciła do panińskiego nazwiska i żyła z byłym sędzią Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi Romanem Vogel – Rawiczem, w tym czasie szefem kancelarii adwokackiej w tym samym mieście, mieszczącej się przy ulicy 11 listopada 36, mieszkania 44. Choć był znacznie od niej starszy, po kilku tygodniach zamieszkała u niego i znajomym przedstawiała jako swojego męża. W 1948 roku przenieśli się do Warszawy i zamieszkali w zakupionym przez ojca Blanki domu przy Bachmackiej 15.

Jeszcze w Łodzi Kaczorowska podjęła studia uniwersyteckie na Wydziale Humanistycznym, które ukończyła już w Warszawie. Wstąpiła też do Polskiej Partii Robotniczej i aktywnie udzielała się w Akademickim Związku Walki Młodych „Życie”, gdzie została nawet wybrana na sekretarza koła. Po uzyskaniu dyplomu znalazła pracę w Państwowym Instytucie Badania Sztuki Ludowej i Folkloru.

Komuniści doskonale znali jej przeszłość. W 1948 roku znalazła się pod osobistą opieką ministra kultury i sztuki, Włodzimierza Sokorskiego. Została aresztowana w momencie, gdy dyrekcja Instytutu postanowiła wysłać ją na studia doktoranckie do Pragi, w grudniu 1952 roku. Na przesłuchaniach usprawiedliwiała się, że ślepo wierzyła mężowi. Tłumaczyła, że Ludwik wciąż ją zdradzał, więc zerwali ze sobą. Od tego czasu widziała się z nim tylko raz.

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Warszawie z 12 czerwca 1953 roku została skazana na karę dożywotniego więzienia oraz pozbawienie praw publicznych i obywatelskich praw honorowych. Wkrótce jednak wyrok został zmniejszony do piętnastu lat pozbawienia wolności, a następnie do dziesięciu. Podczas odbywania kary donosiła gorliwie na współtowarzyszkę z celi jako tak zwany „agent celny” Biura Śledczego. Najwyraźniej Blanka

posiadała predyspozycje do czynienia zła i z czasem pozbyła się już wszelkich hamulców moralnych. W każdym razie jej zachowanie już po wojnie, w peerelewskim więzieniu, donosy na współwięźniarki i natrętnie oferowanie UB usług konfidenckich wystawiają jej jednoznaczną opinię.

Wyszła z więzienia po pięciu latach - 17 marca 1958 roku. Uzyskała również formalny rozwód z Kalksteinem (pozew wniosła jeszcze w 1955 roku w więzieniu w Fordonie pod Bydgoszczą).

W końcu czerwca 1959 roku została współpracownikiem Departamentu II (kontrywiadu) Służby Bezpieczeństwa. Jako agentka „Katarzyna” pracowała do roku 1963, a potem ponownie, w latach 1967 – 1972. Ponieważ jej akta zostały w 1982 roku zniszczone, dokładnego charakteru współpracy, osób, które denuncjowała, i zadań, które wykonywała (także później, we Francji), nie udało się odtworzyć. W zachowanym raporcie z 30 stycznia 1960 roku stwierdzono jedynie: „Jest długoletnim tajnym współpracownikiem naszych organów. W toku pracy dla nas została wielokrotnie sprawdzona i bardzo silnie związana z nami”

Współpraca z SB pozwoliła Kaczorowskiej niemal natychmiast po zwolnieniu z więzienia znaleźć atrakcyjne miejsca pracy. Najpierw w CIECh-u, czyli Centrali Importowo-Eksportowej Chemikaliów przy ulicy Powązkowskiej w Warszawie, potem w Państwowym Instytucie Wzornictwa Przemysłowego przy ulicy Świętokrzyskiej, wreszcie w Oddziale Zagranicznej Obsługi Turystów „Orbis-u” przy Krakowskim Przedmieściu. W 1965 roku zatrudniła się w charakterze głównej sekretarki w Centrali Importowo - Eksportowej „Foto-Kino-Film” przy ulicy Foksal 18.

W 1964 roku dziennikarz Krzysztof Kąkolewski napisał swój głośny reportaż pt. Barwy hetmanów i czerń SS na temat Kalksteina, który wówczas jeszcze siedział wtedy w więzieniu w Strzelcach

Opolskich. Przy okazji niejako przeprowadził też w jednej z warszawskich kawiarni wywiad z Blanką Kaczorowską. Opowiedziała mu o swojej pierwszej miłości, Johannesie Berencie, czyli o owym niemieckim intendentzie z Siedlec, którego uwiodła na żądanie Armii Krajowej, o jej prawdziwych uczuciach i stosunku do Kalksteina, obecnych kłopotach z mężczyznami i o synu, noszącym jej panińskie nazwisko, który wie, że „jest napiętnowany jakby grzechem pierworodnym”. Żaliła, że od dwudziestu lat każdej nocy ma koszmary. I cholernie nieudane życie osobiste, wszyscy mężczyźni rzucają ją bowiem natychmiast, gdy tylko dowiedzą się, kim była. Autor reportażu bardzo pilnował się, by w tekście nie wymienił miejsca pracy swojej bohaterki. Z pewnością na życzenie Służby Bezpieczeństwa.

Na skutek jej haniebnej przeszłości, przydatność Blanki Kaczorowskiej jako agenta SB zmniejszyła się do zera. Zapewne z tego właśnie, a nie z innego powodu została wysłana do Francji. Nie udało się jednak ustalić, jakimi zadaniami obarczył ją peerelewski kontrywiad. Wyjechała tam 28 marca 1968 roku z turystycznym paszportem i prawem wielokrotnego przekraczania granicy. Jako powód opuszczenia kraju wpisała w kwestionariuszu wizowym: „badania nad zagadnieniami z historii sztuki”. Jak informowała listownie rodzinę, przygotowywała pracę doktorską z tego zakresu. Często przyjeżdżała do Polski i jeszcze w 1971 roku odbierała pensję w Centrali „Foto-Kino-Film”, chociaż nad Sekwaną nawet fikcyjnie nie występowała jako reprezentantka tej firmy.

Zamieszkała w Paryżu, przy 69 Avenue de la Bourdonnais i doskonaliła język w szkole Alliances Françaises. Oficjalnie zajmowała się streszczeniami różnych książek francuskich dla potencjalnych wydawców w kraju. W roku 1972, w związku z coraz silniejszymi depresjami i napadami lęków zaczęła się leczyć

**Spektakl wokół
pomnika
(dokończenie)**

psychiatrycznie, co stało się powodem zawieszenia współpracy z nią przez peerelowski kontrwywiad. Przeprowadziła się do miejscowości Le Chesney koło Wersalu, gdzie znalazła zatrudnienie w jednym z hoteli. W 1974 roku dojechał do niej z Polski jej syn. Jej i Ludwika Kalksteina. Ten sam, który przed laty, będąc jeszcze w brzuchu, uratował jej w ten sposób życie.

W 1980 roku przeszła udar mózgu, który spowodował częściowy paraliż. Dwa lata później, na skutek „chronicznych stanów depresyjnych” trafiła do szpitala psychiatrycznego „des Murets” w La Queue-en-Brie (gdzie twierdziła, że oboje z mężem byli ze względów politycznych więzieni w PRL-u), a w roku 1983 do Polskiego Domu spokojnej Starości w Lailly-en-Val, mieszczącego się w zamku Fontpertuis. Dyrekcja przyjęła ją oczywiście w dobrej wierze, bez świadomości jej zbrodniczej przeszłości, jako polską emigrantkę, chorą na depresję.

To było już prawdziwe i granie z ogniem. Gdzie, jak nie tam przecież, mogła być najłatwiej zdemaskowana? Wśród niezwykle zasłużonych dla polskiej niepodległości postaci (pensjonariuszem zamku był między innymi admirał Józef Unrug z żoną Zofią - słynny dowódca obrony polskiego Wybrzeża we wrześniu 1939 roku), znalazła się agentka UB, wcześniej konfidentka gestapo, skazana wyrokiem Armii Krajowej na karę śmierci.

Pewnego dnia, w krzyczącej po nocach pensjonariuszce dawny akowiec rozpoznał osławioną Blankę Kaczorowską. Wybuchł oczywiście skandal, w wyniku którego dyrektor placówki, doktor Marek Szypulski przeniósł ją do francuskiego domu opieki w oddalonym o sześć kilometrów Beaugency, gdzie pozostawała do końca lat osiemdziesiątych. Przez jakiś czas przebywała u siostry w Szwajcarii, po powrocie zamieszkała w domu starców „Le Vieux Colombier”, przy 20 Avenue de l'Isle, w Villers-sur-Marne.

Od początku pobytu we Francji bez większych problemów przedłużano jej polski paszport, zawsze z prawem wielokrotnego przekraczania granicy, a w roku 1994 wydano paszport konsularny.

Osiemdziesięcioletnia Blanka Kaczorowska zmarła 25 sierpnia 2002 roku w Bry-sur-Marne (departament Val de Marne), w szpitalu Ojców Kamilianów, dokąd przewieziono ją kilka dni wcześniej, w ciężkim stanie, z domu opieki w Villiers-sur-Marne.

Mieszkająca w Polsce rodzina Kalksteina twierdziła, że ten zmarł we Francji w latach osiemdziesiątych. Zdradca jednak wcale nie przeniósł się na tamten świat. Jako Edward Ciesielski żył nadal w Monachium, gdzie prowadził antykwariat. Przed śmiercią zwrócił się do niemieckiego sądu o przywrócenie nazwiska Kalkstein, którego nie używał od roku 1940. Zmarł naprawdę dopiero 26 października 1994 roku na raka.

W pogrzebie uczestniczył jego syn, który wiosną 1944 roku uratował życie swojej matce Blance Kaczorowskiej. Od lat mieszka we Francji, pracuje jako architekt.

Według administracji monachijskiego cmentarza w 2005 roku grób Edwarda Ciesielskiego – Ludwika Kalksteina został zlikwidowany, ponieważ nikt za niego nie zapłacił. Urnę z prochami umieszczono w zbiorowej mogile.

Przemysław Słowiński

Przypis:

() Erich Merten przeżył wojnę i osiadł w rodzinnym Hennickendorfie pod Berlinem, czyli w Niemczech Wschodnich, pod sowiecką kontrolą. Zmarł śmiercią naturalną w Luckenwalde, na południe od Berlina, już w 1948 roku, w wieku 47 lat, i został pochowany na cmentarzu w nieodległym miasteczku Trebbin.*

Żydów podczas II wojny światowej. Jednocześnie usunięto z przestrzeni publicznej narodowość nazizmu. Młodzi Amerykanie, zapytani o to, co to jest nazizm najczęściej nie potrafili nic powiedzieć, niektórzy słyszeli o czymś takim a reszta wzduszała ramionami.

W otwartym niedawno Muzeum Holocaustu w stanie New Mexico przewodnik, zapytany czym był nazizm najpierw zrobił wielkie oczy a potem wydukał że... był to region Niemiec. I tak odczułem ulgę, że nie powiedział, że był to region Polski bo i takie odpowiedzi są częste. Na ten stan rzeczy pracowano od kilkadziesiąt lat zarówno ze strony niemieckiej jak i żydowskiej. Opowieści na temat prowadzenia polskiej polityki historycznej (czy jakkolwiek nazwać uświadamianie od podstaw) można między bajki włożyć. Jedyne polski film fabularny (nie dokumentalny) to film „Wołyń”, który sprzedano amerykańskiej firmie VMI w Los Angeles wraz z wyłącznością na rozpowszechnianie na terenie Ameryki Północnej, a więc zarówno USA jak i Kanady, został pieczołowicie schowany na stronach tejże firmy. Niedawno okazało się, że zmieniono jego tytuł na „Hatred” („Nienawiść”) i w tej postaci stał się „półkownikiem”.

Dlatego z takimi spektaklami jak z Pomnikiem Katyńskim będziemy mieli do czynienia jeszcze niejednokrotnie. Tam, gdzie w grę wchodzi miliardy a przeciwnikiem jest oskarżana o holocaust Polska, nie ma miejsca ani na prawdę historyczną, ani na elementarną przyzwoitość. Fulopy mają grunt przygotowany z silnym wsparciem wszelkich antypolskich środowisk żydowskich. O tym należy pamiętać.

Stanisław Matejczuk

Porównywanie do Targowicy dzisiejszej tak zwanej „totalnej” i działających z jej ramienia na forum światowym – wszak nie tylko w Parlamencie Europejskim – ale niekiedy nawet na eksponowanych stanowiskach w przedstawicielstwach Polski, zwłaszcza za Oceanem, to już dziś banał, łatwo zagnieżdżający się w świadomości, ale nie czyniący jakiegoś wstrząsającego wrażenia. Wielu zresztą nie do końca wie czym właściwie ta Targowica w XVIII wieku była. Nie trzeba też czytelnika zanudzać szczegółowym roztrząsaniem jej genezy, a zwłaszcza analizować życiorysów osób z nią związanych. Bo, pomijając niuanse właściwe każdej historiografii, rzecz można wyjaśnić bardzo prosto.

Otóż nie mylą się ci, którzy twórców Konstytucji 3 Maja uważają za zamachowców, bo przecież pod nieobecność większości posłów tę konstytucję uchwalono. W dniu tym do sejmu przybyło jedynie 182 posłów i senatorów, podczas gdy w sumie było ich 500, z owych 182, 72 sprzeciwiało się projektowi konstytucji. Zatem uchwaliła ją i przyjęła zaledwie około 1/5 posłów i senatorów. Był to więc zamach na ustrój państwa i z tego punktu widzenia opozycja zorganizowana w Targowicy miała za sobą poważne racje. Osoby dążące – przyznać trzeba *per fas et ne fas* – do uzdrowienia mocno już schorowanej Rzeczypospolitej można było zatem uznać za burzycieli odwiecznej tradycji, i wcale nie przeszkadzało to, że w XVIII wieku tradycja ta zasłużyła sobie na zawstydzające powiedzonko: „nierządem Polska stoi”. Było coś jeszcze, co w oczach wielu usprawiedliwiało targowiczán, nawet jeśli nie podzielali ich egoistycznych i aspołecznych zapatrywań. Tym kimś była caryca Katarzyna II, która w porozumieniu z Prusami i przy życzliwym kibicowaniu Habsburgów, a konkretnie Marii Teresy, pilnie śledziła wydarzenia w Rzeczypospolitej, gdzie zresztą utrzymywała już swój nadzór dyplomatyczny poparty odpowiednią ilością bagnetów i opłaconych zdrajców spośród miejskowej śmietanki

towarzystwiej.

Krótko reasumując, Rzeczpospolita wymagała pilnej kuracji, chcieli ją przeprowadzić ludzie ówczesnego polskiego Oświecenia, jak wiadomo, bardzo różniący się od Wolterów, Diderotów i im podobnych. Sanacja państwa wymagała środków, które można było uzyskać kosztem niewyobrażalnych wręcz fortun magnackich i uzdrowienia ustroju społecznego, czyli innymi słowy utworzenia narodu, który wzięłby na siebie odpowiedzialność za państwo. Oczywiście tym narodem byłby uwolniony z poddaństwa i uwłaszczony włościanin. Ale silne państwo położyłoby zarazem kres panoszeniu się nomenklatury, w tamtych czasach magnackiej, w większości myślącej kategoriami własnego interesu, a nie dobra publicznego. Właściwie ci ludzie nie mieli ojczyzny, a jak to pokazują życiorysy wielu targowiczán, szukali jej tam, gdzie upatrywali własne korzyści.

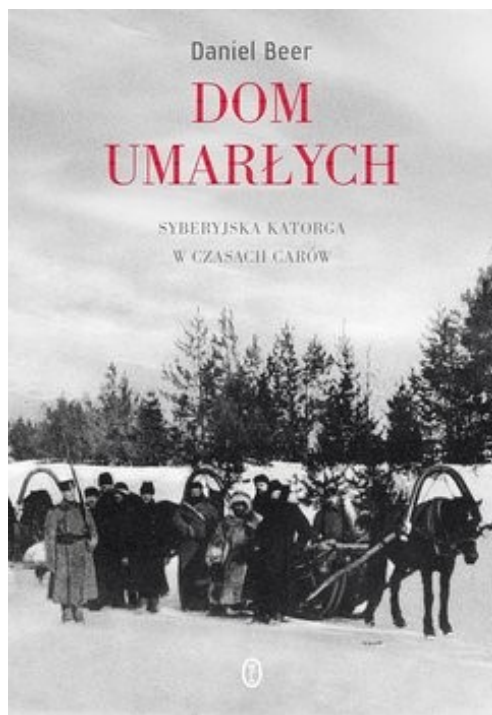
Oczywiście sanacja Rzeczypospolitej się nie powiodła, a przyczyna niepowodzenia, to zbyt słabe lobby patriotyczne, zbyt silna grupa, dziś nazwalibyśmy ją „europejską”, a wtedy byli to po prostu kosmopolici, których ojczyzną była ich pozycja społeczna, w której zaskorupieli, gotowi służyć każdemu, kto zapewni im ich stan posiadania. Zaborcy, a w pierwszym rządzie Katarzyna, spełniali to, ale tylko częściowo, gdyż nie mogli tolerować królewskich nieledwie fortun w granicach swej władzy.

Klęską dla Polski było to, że zarówno rodzimi jej zdrajcy, jak i dyrygująca nimi Katarzyna – innych zaborców właściwie trudno z nią porównać – reprezentowali potencjał, któremu sprostać nie mogli obudzeni z letargu patrioci, mimo podziwu godnej ich ofiarności i zdecydowania. Trzeba było dziesięcioleci, kiedy to obumierała tak zgangrenowana tkanka pokolenia targowiczán i stopniowo rodził się naród. Wiemy, jak dużą cenę musiał on

płacić za tę chwilę, kiedy ongiśiejsi mocodawcy targowiczán sami sobie zgotowali klęskę. Gdyby duch Targowicy przetrwał do tego czasu, do 11 Listopada 1918 r., Polska istniałaby tylko jako kategoria historyczna, i jako część Związku Sowieckiego, czy Rzeszy niemieckiej. Takie byłyby owoce Targowicy, gdyby potrafiła ona zatruć cały organizm państwa i narodu wówczas sprzedanego za przysłowiową „miskę soczewicy”.

Historia nie toleruje nadmiernych skrótów. Toteż to powyższe przypomnienie było konieczne. Wracamy jednak do tej współczesnej nam targowicy. Interesujące jest to czy porównanie do tamtej z XVIII wieku jest trafne. Z jednak strony tak, bo i wówczas godzenie we własny kraj, nawet jeśli nie można go było ściśle nazwać ojczyzną, jak i obecnie, czyn taki był i jest haniebny i stanowi piętno niezmażalne. Z drugiej jednak strony porównanie kuleje pod wieloma względami. Przede wszystkim obecna „totalna”, to wprawdzie również grono osób, dla których ich własny interes jest ponad dobro narodu, państwa, ponad wszystkimi wartościami, na fundamencie których są one zbudowane. Do żywo zainteresowanej dawnym nierządem – obecnie nazywanym „państwem teoretycznym” – nomenklatury, częściowo wyrosłej z chorowitego organizmu PRLu, dołączyć trzeba tzw. klientelę, czyli taką bijącą w blachy opłotowania, leżącą na ziemi „szlachtę gołotę”, jak dawniej nazywano pieczeniaryz magnackich lub szlacheckich. To są ludzie do wynajęcia za psie pieniądze, wystarczy stówka, by wykrzykiwali w słocie i błocie niezrozumiałe dla siebie hasła. Znamy to z manifestacji.

Innymi słowy, obecna Targowica, to nędzna imitacja, replika tamtej, ale tylko w zakresie nazwy kojarzonej ze zdradą i hańbą. Tamta z czasu Konstytucji 3 Maja miała po prostu inny szlif i osiągnęła swoje, choć sposobem niegodnym

www.ksiegarnia.antyk.org.pl


Daniel Beer

Dom umarłych. Syberyjska katorga w czasach carów

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

Rok wydania: 2018

Opis fizyczny: 600 stron, okładka twarda

Syberia zabójczo mroźna otchłań azjatyckiej Rosji, miejsce symbol, skute lodem więzienie, mogiła tysięcy Polaków i Rosjan, inny świat, dom umarłych. Pisali o niej Dostojewski i Tolstoj, Czechow, Solżenicyn i Herling-Grudziński, a po motyw zesłania sięgali Prus i Dukaj.

Wybitny brytyjski historyk Daniel Beer zabiera czytelników w zapierającą dech w piersiach podróż przez czas liczony w pokoleniach i przestrzeń ciągnącą się od ogarniętych powstańczymi płomieniami ziem Polski po mroczne kopalnie dalekowschodniej kolonii karnej w Nerczyńsku. Opowiada o rewolucjonistach: rosyjskich dekabrystach, uczestnikach powstania

listopadowego i styczniowego, a wreszcie o komunistach, którzy wyzwolili Syberię tylko po to, by przemienić ją w jeszcze bardziej śmiertelne więzienie, gułag.

Na kartach "Domu umarłych" Daniel Beer pokazuje, jak wielki był wpływ tego miejsca katorgi tysięcy na historię ludzkości. Dowodzi, że carska Syberia, jako więzienie powstańców i rewolucjonistów, ale także fabryka powstań i rewolucji, ukształtowała Rosję europejską, jej miejsce w świecie oraz bolszewicką przyszłość.

"Nienagannie udokumentowana, pięknie napisana"

"The Guardian"

"Beer ożywia zarówno brutalną rzeczywistość nieludzkiego systemu, jak i tragiczne i inspirujące losy tych, którzy przetrwali"

"The New York Times"

"Wspaniałe studium tego, jak nadludzkim nakładem pracy zdobywano rosyjski Dzikie Wschód"

"Kirkus Reviews"

Dom umarłych pierwsze i jakże słuszne skojarzenie z tym hasłem to powieść Fiodora Dostojewskiego nosząca tytuł Wspomnienia z domu umarłych. Wielki pisarz przedstawił w swojej powieści życie zesłańców, które sam miał okazję poznać. Ten przerażający świat przedstawiony u Dostojewskiego był rzeczywistym tworem, miejscem zsyłek tysięcy mieszkańców Imperium Rosyjskiego. Miejsce, z którego nie było ucieczki, które było poniekąd osobnym, nieznanym łądem, na którym zesłańcy mieli słać imię cara w podzięce za darowanie życia. Nad tym tematem pochylał się Daniel Beer tworząc

znakomitą pracę noszącą tytuł Dom umarłych. Daniel Beer jest brytyjskim historykiem, który poświęcił ogrom sił i czasu na przebrnięcie przez niepublikowane i zamknięte dotąd w rosyjskich archiwach dokumenty mówiące o zesłaniach na odległą Syberię. Poddał badaniom i naukowemu opracowaniu nie tylko listy i pamiętniki pisane przez zesłańców, ale także dokumenty konwojów i ustawy regulujące życie zsyłanych.

Autor śledzi proces zesłań od odkrycia i pierwszej próby podporządkowania Syberii przez Jermakowa, aż do końca istnienia państwa carów. Prowadzeni przez Beera niczym Dante przez Wergiliusza poznajemy Syberię w całej swej okrutnej okazałości. Towarzyszymy pierwszym zesłańcom skazanym na osiedlenie w tej dzikiej krainie. Poznajemy procedurę skazania na polityczną śmierć i zesłania uczestników powstania dekabrystów. Śledzimy również kolejne wielkie zesłanie uczestników powstania listopadowego i powstawanie na Syberii ruchu komunistycznego. Tworzona przez Beera narracja przybliży nam świat pełen zepsucia i okrucieństwa. Świat stworzony z kryminalistów i więźniów politycznych.

Dom Umarłych jest pracą niezwykłą. Napisana w sposób nie tylko rzetelny, ale również wciągający przedstawia obraz świata, który bardziej kojarzy się ze snem szaleńca niż rzeczywistością. A pomimo to, świat prawdziwy. Książka Beera pomimo trudnej tematyki jest przystępna w odbiorze, ale pomimo tego trudna do zrecenzowania, stąd też moja oszczędność w słowa. Niemniej, jest to książka, którą TRZEBA przeczytać.

Termin realizacji: 7 dni roboczych

Nasza cena: 34.00 złote

Zachęcam do lektury !

Marcin Dybowski

Jak to na wojence ładnie, kiedy ulan z konia spadnie...

Tak sobie siedzę i myślę, jak bacia pod Giewontem. Czasami tylko siedzę i żadna myśl mi do głowy nie przychodzi. No i dobrze, gdyż samo siedzenie nie jest groźne, ale myślenie może mieć poważne konsekwencje. Najgorsze są wnioski, które są konsekwencją myślenia, a szczególnie wnioski, którymi chcemy się podzielić z otoczeniem i przekazać je pismem drukowanym albo środkami internetowymi. W prymitywnym systemie zwanym komunistycznym, albo Demokracją Ludową, szło się do więzienia za tak zwaną „szęptaną propagandę”. Dzisiaj już nikt nikogo za szęptaną propagandę do więzienia nikt nie wsadza, ale szerzenie niepokornych wniosków, na początek może się skończyć odłączeniem od Internetu.

Teraz sobie siedzę i myślę, kim ja jestem, albo chciałbym być? Czy wieszczęm narodowym, jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, czy też pogromcą narodowych słabości, jak Książd Skarga? Wybrałem jednak możliwość trzecią, czyli wcielenie się w postać królewskiego błazna na dworze króla Zygmunta Starego, Stańczyka, który w szyderstwie przekazywał gorzką prawdę o polskim narodzie i jego rządzie. Przypomniałem sobie, że przez kilka lat, w okresie średniej młodości miałem kopię obrazu Matejki, z osobą zatroskanego Stańczyka, wiszącą nad moim biurkiem. Biorąc pod uwagę moje braki w ortografii moje aspiracje na poetę muszą zostać niespełnione. Błaznem natomiast z natury byłem a więc takim pozostanę. Na dodatek, pozycja błazna zapewnia, nawet w dzisiejszych czasach ograniczoną niekaralność, której granice są zakreślone prawnie przez ukazy, z czego się wolno śmiać, jak i kiedy. Ponieważ żyjemy w kraju wolnym i demokratycznym można się tutaj śmiać do łez z ludzi tłustych i łytych, jednak pod warunkiem, że są to mężczyźni biali i heteroseksualni. Można się zanosić od śmiechu opisując polskich patriotów, zwanych „populistami” ale nie

z wizerunku, finansisty Sorosa z długim nosem, walczącego z „węgierskim populistą”, Orbanem. W Ameryce najbezpieczniej, a nawet jest zalecane, śmiać się z niczego. Tak jak to mówią w Polsce, śmiać się jak głupi Jaś do sera. Śmiech winien być głośny i szczery, pozytywny w swym charakterze, nie ubliżający innym rasom i osobom pewnych wyznań religijnych i grupy określonej, jako LGBTM. Osoby, które z jakiś powodów śmieją się „chichocząc” winny zostać poddane kuracji odwykowej.

Czy nam Polakom wolno śmiać się z polskich przywar narodowych ?

Zacznijmy od hymnu narodowego w którym w drugiej zwrotce jest powiedziane, że : „Dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy”, ale powinno być „...jak przegrywać mamy”. Autor, Józef Wybicki, pisał słowa do tego hymnu w roku 1797 we Włoszech, przed wyprawą Napoleona na Moskwę. Gdyby Wybicki pisał ten tekst w grudniu roku 1812, jestem pewny, że zmieniłby żenujący tekst drugiej zwrotki, gdyż Bonaparte doświadczył sromotnej klęski w czasie wojny z Rosją. Z 680 tysięcy żołnierzy Napoleona wyruszających na wojnę z Rosją w czerwcu 1812 roku , przeżyło, jako zdolnych do walki, nie więcej niż kilkadziesiąt tysięcy. Dlaczego pisze o Bonapartym? Otóż narzuca mi się analogia z sytuacją Napoleona wtedy i Polski i Polaków w czasach dzisiejszych. Czas na to, aby napisać nowe słowa do starej melodii hymnu narodowego. Czy należałoby zastąpić słowa w drugiej zwrotce polskiego hymnu słowami „Dała nam przykład Ameryka jak zwyciężać mamy”, czy też radykalnie zmienić na : „Dała nam przykład Ameryka, jak przegrywać mamy”? Mam na myśli wojny amerykańskie w Wietnamie, Afganistanie, Iraku i Libii. Polacy w czasie Wojny Napoleońskiej z Rosją wysłali do Rosji około 100 tysięcy żołnierzy. Wróciło ich do Polski, a właściwie do Księstwa Warszawskiego, około 28 tysięcy. Uprzednio w roku 1802 Polacy zostali wysłani przez Napoleona do Santo Domingo (Dzisiaj Republika

Dominikańska i Haiti) w celu stłumienia powstania niewolników. A z 6-ciu tysięcy Polaków wysłanych do Santo Domingo wróciło do Francji zaledwie kilkuset, a około 600, tych mądrzejszych, zostało na wyspie przechodząc na stronę powstańców. W roku 1808 Napoleon wysłał Polaków do Hiszpanii w celu stłumienia powstania Hiszpanów, którzy chcieli zachować swoją wolność. Ta uprzednia polska działalność nie przynosi chwały Polsce i Polakom, którzy wolą szermować hasłem, „My walczymy za naszą i waszą wolność”. Pytanie należy sobie zadać, czy Polska i Polacy zasłużyli sobie na miano wyzwoliciele w Afganistanie i Iraku? Nawet nasi sprzymierzeńcy w NATO, Francuzi i Niemcy odmówili udziału w wojnie w Iraku. Dzisiaj, po latach odzywają się słowa krytyki w samych Sanach Zjednoczonych, że wojna w Wietnamie była pomyłką. Nawet w czasie, kiedy Polska, a właściwie PRL, był sowiecką kolonią, nie „zaproszono” Polaków, aby pomagali ZSSR w ich agresji w Afganistanie. Może ktoś z byłej wierchuszki w PRLu, jak np. były Prezydent, Aleksander Kwaśniewski, da nam odpowiedź na to pytanie. Może PRL miał pewną dozę niepodległości i Kreml nie odważył się na wysłanie Polskich żołnierzy, aby „wyzwalali” Afganów?

Co o polskiej mentalności

Komuna przyszła i zdechła, ale głupota arystokratyczna została. Być może, że to dusza polskiego chłopca pańszczyźnianego aspiruje do arystokratycznych manier. Dało się to nawet zauważyć w końcowym etapie PRL-u, kiedy to zapraszano zbiedniałych hrabiów na „salony” partyjnych bonzów. Skąd mnie tam do krytyki i oceny, jako że sam z chłopstwa pochodzę i na dodatek z chłopstwa bezrolnego. Nie wiem skąd się wziął koniec mego nazwiska na „ski”. Czuję się jak Żyd, krytykujący Izrael. Albo jak to mawiał polski patriota, Żyd, Leopold Tyrmand: „Żyd blondyn to rzecz sprzeczna

Napoleon Bonaparte a sprawa polska

(dokończenie)

Strona 15

naturze". Tu muszę wyjaśnić, że blondynem zostałem na starość, jak zupełnie posiwiałem. Uprzednio byłem brunetem. Dalsze podejrzenia, co do moich religijnych koligacji wynikają z daty mej imigracji do USA w 1968 i z przekonania otoczenia, że mam głowę do interesu i że do spowiedzi nie chodzę. Mój dobry znajomy, za moimi plecami dopytuje się mojej żony, czy to możliwe, że nie jestem Żydem. Można by powiedzieć, trawestując Tyrmanda, że „Polak-Biznesmen”, rzecz sprzeczna z naturą”.

W Polsce Ameryka zastąpiła Napoleona

Tak jak kiedyś polska arystokracja liczyła na Napoleona, jako na wybawcę i gwaranta niepodległej Polski, tak dzisiaj, nowe polskie rządy liczą na Stany Zjednoczone. Te gwarancje, niestety nie są oparte na chłodnej kalkulacji. Niestety pozwolę sobie uciec do starej wskazówki dotyczącej zachowania w przetargach handlowych: „Kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak Żydzi”. Niestety, jak od wielu lat zdalnie obserwując Polskę, ta wskazówka nie jest stosowana, natomiast polscy politycy kiedyś jak i dzisiaj, kierują się inną zasadą w postaci: Zrobimy „szlachetny gest braterstwa”, a nasz partner, w tym wypadku USA, odwzajemni się nam podobnie. Niestety podobnie było z Polakami i Napoleonem. Polacy nie rozumieją mentalności i założeń amerykańskich polityków, których mentalność ukształtowała się w handlowej i finansowej atmosferze. Napoleon miał ambicje na skalę europejską włączając w to Rosję, a dzisiaj Amerykanie mają ambicje na skalę globalną. Dla obydwu Polska i była i jest małym krajem, który można wykorzystać jak nadarzy się okazja, na przykład na Ukrainie, ale nie celem końcowym. Stany Zjednoczone zostały stworzone, nie przez amerykańskich arystokratów, ale przez ludzi klasy średniej, przemysłowców i farmerów. Niestety niektórzy z tych farmerów handlowali w owym czasie niewolnikami. Dzisiaj niewolnictwo zostało zniesione, jako mało opłacalny interes, natomiast pewne elementy tej

koncepcji przeniesiono poza granice Ameryki. Klasa rządząca, ktokolwiek nią jest, ma mentalność kupiecką, w której pieniądź odgrywa pierwszorzędą rolę w decyzjach, jakie podejmują. Kontrakt handlowy góruje nad zasadami moralnymi. Człowiek, który nie dba o swoje interesy jest uważany za człowieka nie wartego uwagi a nawet pomylonego. Mogę zaryzykować twierdzenie, że system wartości Anglosasów jest bardziej zbliżony do Żydowskiego niż Polskiego. Natomiast w polskiej mentalności, przeważa opinia, że o pieniądżach w dobrym towarzystwie się nie mówi. Pieniądże to wstydliva dziedzina, którą zajmują się Żydzi i Niemcy. My Polacy mamy wartości rycerskie. Specjalizujemy się w umieraniu „za sprawę”. Po porażce, występuje płacz, żeśmy zostali oszukani. W gruncie rzeczy oszukaliśmy sami siebie. W Ameryce człowiek oszukany, nie jest warty współczucia, szczególnie, jeśli naiwnie liczył na wartość obietnicy niezabezpieczonej kontraktem prawnym. Także człowiek pokorny jest przedmiotem pogardy. Ten, który się ostro targuje, jest szanowany, jako partner, z którym warto robić interesy. Czy zatem, Amerykanie, ze swym zapatrzeniem na wartość pieniądza, zwyciężają w zmaganiach nad dominacją nad światem? Polacy im pomagają, ale jakoś nie skutecznie. Ameryka przegrywa cele wywołanych przez nich wojen, mimo ich militarnego wygrywania. Ostatnie wojny wykazują, że Amerykanie także są w błędzie, mierząc swoich przeciwników własnymi wartościami. Wojna w Afganistanie trwa już 17 lat i jej końca nie widać. Przewaga technologiczna jest olbrzymia, a jednak Talibowie w sandałach kontrolują większość kraju. Jakoś nikt się nie zastanawia (albo ukrywa) skąd taka dysproporcja, między kosztem, a wojny wynikiem.

Izrael, małe mocarstwo, jakoby „demokratyczne”, na Bliskim Wschodzie, uzbrojone w kilkaset bomb jądrowych także nie może sobie dać rady

z rzeszą miejscowych Arabów, także rasowo spowinowaconych „Semitów”, którzy od 70 lat rzucają na nich kamieniami. W tym konflikcie, Izrael potrzebuje przyjaciół, mimo tego robi sobie z Polaków wrogów. Można tylko spekulować, jaką korzyść w tym mają. Jednym wytłumaczeniem, poza pieniędzmi jest celowe wywołanie psychozy zewnętrznego zagrożenia, przez jakoby polski antysemityzm, aby scementować wewnętrznie własne społeczeństwo, u którego występuje znużenie ciągłą wojną z zagranicznymi i wewnętrznymi wrogami. W tym wypadku żądania okupu w wysokości 65 miliardów dolarów, za mienie Żydów pomordowanych przez Niemców, aczkolwiek wygląda na dużą sumę, jednak strategicznie jest wielką pomyłką. Takich pomyłek Żydzi w swej długiej historii mieli wiele i to chyba jest skutkiem, że są uważani za wiecznych tułaczy zawieszonych w swej żydowskiej próżni.

Innymi słowy mówiąc polityka Żydów i Amerykanów oparta na korzyściach finansowych, nie zawsze prowadzi do zwycięstwa w postaci pokoju, który Izraelowi jest bardziej potrzebny niż pieniądze. Można by tak długo spekulować, aż do znużenia albo do trzeciej wojny światowej, ale pozwalam sobie na krótką radę dla tych, co Polską rządzą: Polacy podnieście się z kolan! Całowanie stóp satrapów sowieckich na Kremlu, miało pewien sens, jako że mieliście do czynienia z mentalnością bizantyjską. Oni to lubili. Ameryka to inny kraj i inna mentalność. Moja amerykańska żona to potwierdza. Tutaj pokornymi pogardzają. Nie dajcie się nabijać w butelkę, bo skończycie tak jak na Santo Domingo z Napoleonem. Zakładanie jarmułek i podróże do ściany płaczu także nie poskutkują. Uwierzcie wreszcie, że życie w kraju, który do was należy. Na zakończenie rada: **Jak Wam amerykańscy kongresmeni plują w twarz, to nie mówcie, że to wiosenna mżawka.**

Jan Czekajewski

Tym pochodzącym z seksuologii terminem można by określić działania sowieckich służb specjalnych poprzedzające demontaż komunizmu w opanowanej przez ZSRR części Europy. Działania te, jak i sam proces transformacji to obszar badawczy omijany wielkim łukiem przez naukowców akademickich. Zresztą - według oficjalnej wykładni - nie ma czego badać, bo już "wszyscy wszystko wiedzą" - demokratyczna opozycja porozumiała się z patriotyczną częścią partii komunistycznej "jak Polak z Polakiem" i bezkrwawo przejęła władzę. Myśliciele w rodzaju Frasyniuka orzekli nawet, że tzw. "porozumienie okrągłego stołu" to najdonioślejsze wydarzenie w tysiącletniej historii Polski. Jest zrozumiałe, że liczni zasiedlający uniwersytety akademicy - humaniści nie będą ryzykować kariery zgłębiając "śliską" tematykę.

Takiej obawy nie miał historyk niezależny - dr Jerzy Targalski, który wydał ogromną 3 - tomową pracę pt. "Służby specjalne i pieriestrojka" (podtytuł: "Rola służb specjalnych i ich agencji w pieriestrojce i demontażu komunizmu w Europie Środkowej"). Nie jest to lektura nadająca się do czytania w pociągu, ale nawet pobieżne przewertowanie dzieła pozwala na pełniejsze postrzeganie naszego obecnego położenia. Autor przeanalizował sytuację rok po roku we wszystkich krajach "demokracji ludowej", przytaczając setki faktów i śledząc biografie aktorów procesów dziejowych. Targalski wykonał pracę podobną do grzebania w szambie - "grzebał w życiorysach" zarówno funkcjonariuszy służb, aparatczyków partyjnych, polityków jak i opozycjonistów. W opinii ludzi postępu "grzebanie w życiorysach" jest czymś wstrętnym i nagannym, jednak właśnie w życiorysach znajduje się klucz do zrozumienia procesu "obalania komuny".

"Siłownicy" - animatorzy reform

Co najmniej od lat 70 - tych ub. wieku dla wszystkich myślących w Związku Sowieckim stało się jasne, że gospodarka centralnie planowana jest mniej wydolna od kapitalistycznej i że bez głębokich reform ZSRR przegra rywalizację ze światem Zachodu. Świadomość ta była powszechna w służbach, gdyż wolni od zamulenia ideologicznego funkcjonariusze byli najlepiej zorientowani w sytuacji (mieli dostęp do prawdziwych informacji). Z perspektywy elit sowieckich głównym celem reform miała być zamiana władzy politycznej na mniej kosztowną, skuteczniejszą i przyjemniejszą władzę ekonomiczną.

Reformy jednak nie mogły być dokonane, bo naczelny ideolog partii komunistycznej - Michaił Susłow - uważał, że "wszelkie reformy zawsze prowadzą do kontrrewolucji". W kraju rządziła partia komunistyczna, a KGB była zaledwie "mieczem i tarczą" partii. Jednak nie czekając na śmierć starego ideologa (1982) "siłownicy" zaczęli przygotowywać plan przebudowy imperium. Powstał think tank mający za cel opracowanie założeń przyszłych reform. W skład zespołu weszli naukowcy ze służb cywilnych i wojskowych pod kierownictwem prof. płk KGB Władimira Rubanowa i prof. płk GRU Witalija Szłykowa. Tam prawdopodobnie wypracowano kształt przyszłej "pieriestrojki".

Zakładano ograniczenie wpływu partii komunistycznej na gospodarkę i liberalizację (trójpodział władz, wielopartyjność, własność prywatna, wybory spośród więcej niż jednego kandydata, likwidacja cenzury, "głasność" itp.). Jednak prawdziwe struktury władzy miały być ukryte za fasadą demokracji - a więc to nie premier Tusk wymyślił "państwo teoretyczne", tylko eksperci moskiewscy.

Dowodem na działania nieformalnego gremium sterującego mogą być nominacje ministerialne w rządach PO. Jakaś "niewidzialna ręka" podsunęła

Tuskowi "brytyjskiego ekonomistę profesora Rostowskiego" jako ministra finansów (który rozpoczął urzędowanie nie mając polskiego obywatelstwa). Ministra przestano tytułować profesorem, kiedy nie udało się odnaleźć jego doktoratu (pozostał tylko prof. Bartoszewski). Rostowski skutecznie potrafił nie dopilnować wypłaty 500 mln zwrotu podatku VAT czterem facetom mającym zarejestrowaną firmę w pustym pokoju na 33 piętrze wieżowca. Pieniądze natychmiast powędrowały na Kajmany, by przez Bermudę i Holandię trafić do Londynu.

Ktoś zainstalował "Borysława" Budkę w rządzie Ewy Kopacz. Wprawdzie pani premier twierdziła, że nominacje ministerialne to "jej autorski projekt", ale chyba tylko częściowo. Niewątpliwie jej propozycją mogła być katechetka Terenia (ta, która "da radę") jako minister nadzorujący policję i służby specjalne. Trudno uwierzyć jednak w nominację osoby, której imienia się nie zna. Minister Budka tłumaczył, że był słabo rozpoznawalnym posłem "z tylnych ławek", ale czy takiemu posłowi powierza się ważne stanowisko ministra sprawiedliwości?

Twórcy "pieriestrojki" zakładali, że w miejsce państw "demokracji ludowej" powstaną państwa formalnie niepodległe, pozostające jednak pod kontrolą centrali. Przewidywano, że głównym problemem i zagrożeniem dla reform będzie opór potężnego aparatu partyjnego, a w państwach zewnętrznych także aspiracje niepodległościowe zamieszkałych tam narodów. Można było liczyć natomiast na sprzymierzeńców z nomenklatury gospodarczej, którzy chcieli "gospodarować na swoim". Właśnie dyrektorzy fabryk, kombinatów czy przedsiębiorstw stali się w przyszłości największymi beneficjentami przemian. Także w Polsce partyjny dyrektor często zostawał właścicielem fabryki, którą można było następnie "odstąpić"

Ciąg dalszy na stronie 17

cudzoziemcowi...

Przy okazji wytworzyło się nowe, nomenklaturowe ziemiaństwo, ponieważ partyjni dyrektorzy PGR -ów zostali właścicielami wielkich posiadłości ziemskich. Targalski uważa, że "pieriestrojka" zaczęła się już za Andropowa (który był pierwszym "czekistą" na stanowisku I sekretarza KPZR), gdyż wtedy zaczęły się wielkie ruchy kadrowe w służbach. Chodziło o "odcedzenie" funkcjonariuszy "nie nadających się", a więc nie nadających się do nowych zadań. Dominujący dotąd prymitywny "stukacz" – donosiciel nie wystarczał w sytuacji, gdy mniej istotne stało się zbieranie informacji. Potrzebny był agent potrafiący wpłynąć na jakieś środowisko i skłonić je do określonych zachowań. Wykształcono nowy typ tajnego współpracownika zwanego w żargonie "zawodowym dysydem". W Polsce również mieliśmy "zawodowców" zajmujących się "walką z komuną" w pełnym wymiarze godzin. Nie mogli oni być członkami związku zawodowego "Solidarność", bo nie pracowali etatowo.

Demokracja wymaga istnienia opozycji, a ta była tylko w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. W innych krajach opozycję trzeba było dopiero wygenerować. Dlatego z inicjatywy KGB zorganizowano w Helsinkach Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy KBWE " (1975), na której Związek Radziecki zobowiązał się przestrzegać "praw człowieka" – niezbędnych do zaistnienia legalnej opozycji.

Ludzie Europy Wschodniej przyzwyczajeni do życia w państwie policyjnym, ostrożni i nieufni, bardzo niechętnie korzystali ze swoich "praw". Pierwszy wolny happening w Bułgarii zorganizowała TW "Anna" - Aksinija Dżurowa – prorektor Uniwersytetu

Sofijskiego. Organizatorzy pieriestrojki (i ich agenci) musieli nieźle się natrudzić zanim zaczęły kielkować pierwsze ruchy ekologiczne, pacyfistyczne, Komitety Helsińskie, samorządne związki zawodowe, niezależne stowarzyszenia itp. Znaleźli się w nich, obok ludzi zacnych także liczni "animatory" z ramienia służb.

Spółczesność obywatelskie z wspomaganiami

Tu muszę zacytować mój ulubiony cytat z gen. Kiszczaka:

"SB może i powinna kreować różne stowarzyszenia, kluby, czy nawet partie polityczne, głęboko infiltrować istniejące. Gremia kierownicze tych organizacji, na szczeblu centralnym i wojewódzkim, a także na szczeblach podstawowych, muszą być przez nas operacyjnie opanowane. Musimy sobie zapewnić operacyjne możliwości oddziaływania na te organizacje, kreowania ich działalności i polityki"

Aby mieć "możliwości oddziaływania" nasycenie agenturą musi być podobne jak w Polskim Związku Katolicko – Społecznym. W jego 24 – osobowym zarządzie było 12 tajnych współpracowników SB...

Prominentny czekista Franciszek Szlachcic mawiał "policja jest od tego, by zwalczać lub tworzyć opozycję", a generał SB Krzysztoporski (dobry znajomy Wałęsy) wychodził z założenia, że opozycji nie tylko nie należy likwidować, tylko kontrolować operacyjnie, a nawet finansować.

Liczne powstałe mniej lub więcej spontanicznie "organizacje pożytku publicznego" stały się wylegarnią polityków i mężów stanu użytecznych organizatorom "pieriestrojki".

Dobrym przykładem w Polsce może być organizacja pacyfistyczna "Wolność i Pokój", dzięki której ujawnili swoje talenty niżej wymienieni prominenci:

Bartłomiej Sienkiewicz – "twórca" UOP. Szef MSZ w rządzie PO-PSL.

Obywatel RP Kasprzak – przywódca.

Wojciech Brochwicz – dyrektor w UOP.

Piotr Niemczyk – polityk Unii Wolności, funkcjonariusz UOP znany z inwigilowania Kaczyńskiego

Bogdan Klich – polityk PO, szef MON w rządzie Tuska.

Konstanty Miodowicz – szef kontrwywiadu UOP. Działacz PO. Zginął w dziwnych okolicznościach („zasłabł podczas spaceru”).

Jan Maria Rokita – polityk Unii Wolności i PO. Niedoszły „premier z Krakowa”.

Andrzej Miszk –współzałożyciel KOD. Znany z głódówki w obronie Trybunału Konstytucyjnego.

Andrzej Stasiuk – salonowy pisarz. Hoduje barany, a jednemu z nich nadał imię „Smoleńsk”.

O tej organizacji tak pisze bloger "Kokos 26":

"Jeżeli ktoś zadalby mi pytanie, komu potrzebny był ruch „Wolność i Pokój” założony przez obecnego ministra Czaputowicza to odpowiedzi szukałbym w powierzeniu jego członkom misji tworzenia Urzędu Ochrony Państwa III RP, a później zasilenia jego szeregów i to na bardzo wysokich stanowiskach. Szczególnie kuriozalnie wyglądało uczynienie z tych młodych pacyfistów i ekologów osób odpowiedzialnych za weryfikację funkcjonariuszy SB. Kiszczak musiał skakać ze szczęścia i nieźle się bawić, kiedy weryfikację pozytywnie przeszło 74% z 10439 esbeków i aż 7200 z nich zasiliło szeregi nowych służb".

Łotewski funkcjonariusz Boris Karpiczkow pisał o całkowitej kontroli

ruchów nieformalnych przez KGB i masowym werbunku działaczy, którzy mieli stać się czołowymi politykami Łotwy po przewidywanym przez KGB rozwiązaniu ZSRR.

Jego pokretny życiorys jest dość typowy dla wielu czekistów w trudnych czasach "pieriestrojki". Za komuny właściwej Kapriczkow zajmował się kontrwywiadem na odcinku amerykańskim. W czasie przemian oddelegowano go do Moskwy do pracy w FSB, gdzie miał infiltrować służby łotewskie. Po półrocznym bezrobociu został agentem łotewskiego kontrwywiadu (fachowiec tej specjalności nie musi martwić się o pracę), a następnie zaangażował się do CIA (którą zwalczał w czasach sowieckich). Zajmował się powiązaniem mafii z politykami. Po oskarżeniu o kradzież 232 tys. dolarów w 1997 roku uciekł do Londynu, a Anglicy w 2005 roku ostatecznie odmówili jego ekstradycji...

Jedność w różnorodności

Nad prawidłowością przebiegu pieriestrojki w krajach bloku czuwał najbliższy współpracownik Gorbaczowa – Aleksander Jakowlew. Krążył on między poszczególnymi krajami, doradzał i popędzał. Ciekawe, że proces "pieriestrojki" na Słowacji sterowany był raczej przez Moskwę niż przez Pragę. Czyżby już wtedy zakładano rozpad Czechosłowacji?

Organizatorzy transformacji nie polegali jedynie na lokalnych strukturach służb mając do pomocy w każdym kraju także agentów prowadzonych bezpośrednio przez "centralę". Rosjanie szczególnie ufali wielopokoleniowym klanom agentów, w których już trzecie pokolenie pracowało dla Moskwy. Najwięcej takich rodzin było w Rumunii i Bułgarii. Polityk PO Tomasz Cimoszewicz mógłby liczyć na zaufanie wschodnich przyjaciół...

Prymusem transformacji była Estonia, Ukraina i Bułgaria zostawały w tyle.

Opóźnienia poszczególnych etapów przemian dochodziły do roku, ale wszędzie w podobnym czasie wprowadzono "analogi" "ustaw Wilczka", komercjalizację banków (w Polsce pół roku po Rosji), tworzono "firmy polonijne" (joint ventures), powołano urząd prezydenta z prawem weta i Trybunał Konstytucyjny (w Polsce 1985 r.). Utworzenie TK anonsowano jako krok w kierunku demokratyzacji – w rzeczywistości był to ważny "bezpiecznik" gwarantujący utrzymanie systemu pod kontrolą. W Polsce TK dwukrotnie uniemożliwił dekomunizację jako "godzącą w prawa człowieka"... Generowanie "partnera społecznego" było sterowane odgórnie – świadczy o tym zbieżność dat powstania "Grup Inicjatywnych" (ogromnie nasyconych agenturą). W skład takiej grupy wchodził pisarze, artyści, naukowcy, autorytety moralne i inne prominentne osoby związane z establishmentem partyjnym. Pierwsza Grupa Inicjatywna powstała w Tallinie, później jednocześnie w Wilnie i Rydze, a następnego dnia w Kiszyniowie (zbieżność dat wyklucza jakąkolwiek spontaniczność).

Najbardziej oporna była Bułgaria. Według opinii bułgarskiego czekisty "opozycja w Bułgarii rodziła się dzięki działalności Zarządu i była wychowywana pod jego skrzydłami".

Mimo starań wielu zadaniowanych TW nie udało się wytworzyć "niezależnych, samorządnych" związków zawodowych – wytypowani aktywiści pozostali przy bezpieczniejszej działalności ekologicznej. Ich ostrożność wynikała z niechęci I sekretarza Żiwkowa do zmian. Los pierwszych sekretarzy krajów wasalnych był ściśle związany z ich stosunkiem do "pieriestrojki". Wizerunek gen. Jaruzelskiego byłby fatalny w dobie szalejącej demokracji, która zbliżała się wielkimi krokami - dyktator stanu wojennego nie miał innego wyboru jak ucieczka do przodu. Stąd proces przemian w Polsce miał najwyższą dozę teatralności ("okrągły stół"), a generał

starał się być liderem na tle pozostałych krajów bloku. Jaruzelski już jako prezydent pewniej się czuł mając w pobliżu Armię Czerwoną (na wszelki wypadek), dlatego w Polsce wojska sowieckie stacjonowały najdłużej (do 1993 r.).

Ci spośród komunistycznych przywódców, którzy nie wyczuli wiatru przemian skończyli źle – Honecker na wygnaniu, Żiwkow w więzieniu, Ceausescu zamordowany. "Conducator" wiedział, że coś się szykuje w Moskwie, więc naprzód usunął funkcjonariuszy, którzy pobierali nauki w Rosji, później tych mających żony Rosjanki. W końcu zaczął "neutralizować" potencjalnych konkurentów. Udało mu się zlikwidować dwóch, ale trzeci – Ion Iliescu ocalał i zlikwidował "Conducatora" stając się ojcem rumuńskiej demokracji.

Dziennikarze murem za służbami i telefon Kuronia

Projektanci przemian wiedzieli, że tak ambitna operacja musi mieć pełną osłonę medialną. Równocześnie wymóg demokratyzacji nakazywał zniesienie cenzury.

Okazało się, że była to instytucja całkowicie zbędna. Obawa komunistów, że po likwidacji cenzury każdy będzie mógł sobie pisać co chce, była nieuzasadniona - redakcje przejęły na siebie rolę cenzury. Zresztą dziennikarze zawsze sami wiedzą co pisać (a czego nie).

Jedność przekazu świata dziennikarskiego po 10 kwietnia 2010 roku była imponująca, choć instytucjonalna cenzura nie istniała już od wielu lat. Jak ujawnił Mitrochin w swoim "Archiwum", już w 1980 r. centrala KGB zalecała swoim zagranicznym rezydentom, by zamiast kłopotliwego pozyskiwania agentów, wynajmowały raczej dziennikarzy. Za drobne pieniądze

publicysta opublikuje, literat stworzy literaturę, dziennikarz napisze wszystko to, co było zamawiane.

Wraz z liberalizacją postępował ogromny wzrost liczby tajnych współpracowników SB, którzy musieli pilnować by nie przekroczyć ram dozwolonej wolności. W kluczowym roku demontażu systemu w Polsce liczba TW osiągnęła niemal 100 tys. (w okresie "stalinowskim" tylko 85 tys.).

Najważniejszą rolę odegrali tajni współpracownicy w mediach. Kontrolowani przez SB dziennikarze otrzymywali polecenia poruszania konkretnych tematów - dostarczano im materiały, a nawet gotowe artykuły. Nadzorem SB objętych było ok. stu redakcji. Tylko w "Życiu Warszawy" było od 12 do 15 tajnych współpracowników SB (nie licząc agentów służb wojskowych). W połowie lat 80 – tych władze PRL nie mogły liczyć, że ktokolwiek uwierzy w informacje zamieszczone w oficjalnej prasie, więc rozgłosiła "dywersji ideologicznej" – Radio Wolna Europa stało się podstawowym medium komunikowania się ze społeczeństwem. W pewnym momencie zaprzestano nawet zagłuszania audycji – oczywiście w ramach demokratyzacji... Rozgłoszenia Wolnej Europy wylansowała jako głównych opozycjonistów Kuronia i Michnika, taktownie przemilczając Macierewicza i innych mniej właściwych. Wiadomości z życia "demokratycznej opozycji" przekazywał monachijskiej rozgłosni Jacek Kuroń ze swojego magicznego telefonu. Jakoś nikt z komunistów nie wpadł na pomysł, żeby ten telefon po prostu wyłączyć... Audycje RWE umożliwiały kształtowanie się opinii publicznej nie tylko poprzez agenturę wpływu umieszczoną w rozgłosni, ale także dzięki amerykańskiemu poparci dla komunistów dokonywujących demontażu systemu. Wielką troską Amerykanów

było, by komunistom nie stała się krzywdą ze strony nienawistnych katolickich "nacjonalistów".

Politycy ze zobowiązaniami

Większość premierów, prezydentów i ministrów spraw zagranicznych III RP rozwijała swoje talenty pod opieką komunistycznych służb. Bynajmniej nie byliśmy wyjątkiem.

Premierem Litwy została Kazimiera Prunskiene od 1980 roku agentka KGB o pseudonimie "Satrija". Dla KGB pracowali także premierzy Łotwy i Estonii. "Satrija" wyjaśniała, że uważała KGB za jedyną organizację zdolną do wprowadzenia reform, więc musiała donosić... Zdemaskowanie pani premier było wynikiem frakcyjnych tarć w służbach i wywołało na Litwie podobny szok jak u nas sprawa "Bolka".

Litewski Sajudis został założony przez KGB i był kierowany przez agentów. Jednak w miarę upływu czasu konfidenci wykruszali się lub zostali zdemaskowani, a organizacja się oczyściła. Czy w tym procesie pomogła Matka Boska Ostrobramska ?

W 1991 roku rząd Litwy postanowił, że byli pracownicy i informatorzy KGB nie mogą być posłami, ministrami, dyrektorami departamentów i piastować kierowniczych stanowisk w administracji państwowej. Osoby uwikłane zostały poproszone o ustąpienie z zajmowanych stanowisk w terminie 3 miesięcy. Pierwszym aresztowanym pod zarzutem współpracy z KGB był Algis Klimaitis (TW "Kliugeris"). Będąc odpowiedzialnym za politykę zagraniczną "Kliugeris" krytykował "politykę konfrontacyjną" z Rosją, a żądanie wycofania wojsk rosyjskich z Litwy uważał za "dyktatorskie" i szkodzące wizerunkowi Litwy na Zachodzie...

Wówczas po raz pierwszy w Europie postsowieckiej fakt współpracy z

komunistyczną tajną policją uznano za czyn naganny.

Choć błyskotliwi projektanci "pieriestrojki" szczegółowo zaplanowali scenariusze, dynamika wydarzeń spowodowała, że "rozpędzonego parowozu dziejów" nie udało się już zatrzymać. Dzięki temu np. już w 1992 roku w Estonii zaczęto odbierać majątki zagrabione w wyniku złodziejskiej nomenklaturowej prywatyzacji. Przemiany osiągnęły znacznie większy zakres niż przewidywano m.in. z powodu rywalizacji Gorbaczowa z Jelcynem, KGB z GRU i walk frakcyjnych wewnątrz służb.

Podobnie jak w Polsce, dekomunizacja w Mołdawii się nie udała. Dlaczego w tym kraju nie było lustracji wyjaśnił I sekretarz Komunistycznej Partii Mołdawii i późniejszy prezydent Lucinschi - "jeśli otworzymy dossiers Bezpieczeństwa, pozostaniemy bez inteligencji".

Tu nasuwa się refleksja nad elitotwórczą rolą sowieckiej policji politycznej. Jakiej proveniencji są nasze elity i jakie mają kwalifikacje moralne ? Czy ktoś wspomagał piękne kariery artystyczne, literackie czy naukowe? A może właśnie brakiem uczciwej konkurencji i negatywną selekcją można wytłumaczyć stan polskich uczelni pozostających daleko w tyle w rankingach światowych ?

Możemy mieć wiele pretensji do działań rządu i polityków partii rządzącej, ale musimy sobie zdawać sprawę, że Porozumienie Centrum i późniejszy PiS to jedyne liczące się ugrupowania powstałe BEZ wsparcia komunistycznych służb. Najlepszym tego dowodem są żywiołowe ataki mediów krajowych i zagranicznych na PiS i jego twórcę Jarosława Kaczyńskiego.

Jan Martini

człowieka przyzwoitego, obojętnie jakiej kondycji. A więc ta dzisiejsza, to „nie ta Targowica”, tamtej dorównuje tylko trzęsawiskiem moralnym, niczym więcej.

A Katarzyna, ta obecna, kogóż tu dziś do niej przyrównać? Chciałoby się nie osobę, a Unię Europejską, ale branie tutaj pars pro toto, to jednak zbyt ryzykowne. Wprawdzie kierujący nią dość zgodnie sprzeciwiają się procesowi uzdrawiania państwa polskiego. Nierządem stało „państwo teoretyczne” eldorado dla złodziei, aferzystów, ale za to posłuszne, odpowiednio dozujące liberalizm lub raczej libertynizm z lewacką lewicą. A jakże, spokojnie można było spać, mając „poprawny” wymiar sprawiedliwości, surowy dla kieszonkowców, a wyrozumiały dla aferzystów, okradających nie tylko to „teoretyczne” państwo, ale przecież konkretnych

obywateli. I teraz to wszystko miałyby być zlikwidowane jakąś nową Konstytucją, powtórzeniem mutatis mutandis tej z 3 Maja? Dlatego też nasza obecna targowica szuka gorączkowo nowej Katarzyny. Kierownicze koła Unii Europejskiej chętnie by w tę rolę weszły, ale same nałożyły sobie wędzidła, które nie na wszystko pozwalają. A więc kto? Pani Merkel, pan Macron? Sami wiecie, że nic z tego. Jednak taka nowa Katarzyna się pojawia i to nader często i to w wielu wcieleniach. To są media liberalno-lewicowe i ich sponsorzy. Tutaj wyliczanka byłaby nie do zniesienia dla czytelników. Żeby sięgnąć do najbliższej półki wskazałbym na sążnisty elaborat niejako Annabelli Chapman, mianowicie jej artykuł z 1 maja 2018 p. t.: The Struggle for

Poland's Future Is Playing Out on the Battlefield of History (Walka o przyszłość Polski rozgrywa się na polu historii). To jest jakiś sposób godny tamtej Katarzyny, gdyż zmuszenie Polaków do rewidowania ich historii po myśli potrzeb dominującej w świecie „urawniłowki”, czy jak chciał Hitler, Gleichschaltung, czyli wtłoczenia wszystkiego w kaftan libertyńsko-lewacki to byłoby coś w rodzaju sukcesu matuszki Jekateriny Wtoroj.

Ale tak, prawdę mówiąc, te wszystkie interwencje w imię wolności mające na celu jej odebranie – tu odwołanie się do Katarzyny II jest trafne – to dziś tak samo nędzna imitacja, jak nasza obecna targowica. A więc dzisiaj, to: nie ta Targowica, nie ta Katarzyna. Zatem zachowajmy spokój i równowagę ducha.

Zygmunt Zieliński

Nowośmieszność

I znowu zrobiło się zabawnie na polskiej scenie politycznej. Tym razem za sprawą zanikającej Nowośmiesznej. Jej pojawienie się na politycznej scenie zaczęło się—jak pamiętamy—od tzw. sondaży różnych Gadzinówek Wybiórczych czy Lisweeków, które już w 24 godziny od powołania tej formacji uzyskały dla niej wynik 10% poparcia. Wydawało się, że do łodzi ratunkowej, wystawionej przez dziarskiego Rysia Petru rzuciła się wielka część tonących Platfusów. Było wesoło już przy samych narodzinach. A jakże !

Wesoło było i dalej, kiedy Rysiu na Rubikonu wyjeżdżał, by powitać Sześciu Króli, zaś wierny mu harem wtórował zawołaniami podczas różnych marszów ulicznych, które kojarzyć się zawsze będą z hasłem: „Stop dyktaturze kobiet !” , zaprezentowanym przez panią Schering-Wielgus. Komedia, odegrana w Sejmie RP przez połączone siły Nowośmiesznej i Platfusów to następny rozdział w niekończącym się paśmie humoru. Wigilia przy blasku zniczy nagrobnych, na którą

zniesiono z zewnątrz „typowe” potrawy jak choćby szynki, baleron i pasztety... Całość zaś ukoronowano zniknięciem w iście angielskim stylu Rysia z Joasią. Madera była dla nich bardziej kusząca niż sala sejmowa. Słowem: wiele zabawy i tematów dla mediów.

I właśnie od tego wypadu na Maderę wszystko się zaczęło. Myszka-Agresorka nie mogła wybaczyć Rysiowi, że jej nie zabrał ale Joasię. Natomiast Kasia próbowała tłumaczyć ów wypad sprawami służbowymi. Rysiu po powrocie jednak z właściwą sobie fantazją stwierdził, że był to jego prywatny wyjazd. Wydaje się, że mogły tutaj po prostu zdecydować względy estetyczne, bo Joasi z Kasią po prostu porównać się nie da.

Tym samym Rysiu został najpierw męczennikiem, odsuniętym od zaciągania nowych długów w imieniu Nowośmiesznej, potem zaś powołał do życia „Plan B”, nazwany szumnie „Planem Petru”. Nie wiadomo, co ów plan zakładał, ale domyślać się można, że chyba jego podstawą było w miarę

miękkie lądowanie poza zasięgiem Kasi i Myszkki, którym pozostawił pamiątkę w wysokości 5 milionów zadłużenia. Jak przystało na macho stwierdził, że on już nie jest w Nowośmiesznej, więc spłacać muszą ci, którzy tam zostali. Trzeba jednak przyznać, że zagrał jak gentleman, wypuszczając przodem obie Joasie.

Drodzy publicyści ! Nie smućcie się, bo było śmiesznie a będzie jeszcze śmieszniej ! Weszliśmy w stadium podwójnej Nowośmiesznej. Może powstanie jakaś Gruppenpartei Madera pod wodzą niezastąpionego Rysia ? Bo Kasia z Myszką i resztkami towarzystwa zostanie wchłonięta przez Platfusów. Jedno, co nie daje mi spokoju: czy można wchłonąć Kasię ? I na to pytanie nie znajduję odpowiedzi.

Remigiusz Ostrowski

Wszelkie listy prosimy kierować na adres redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com